Stron 12

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI — Łódź, 20 lutego 1949 r. — Nr 8 (187)

Cena 25 zł

W NUMERZE

między innymi:

Włodzimierz Lenin

SAMOSTANOWIENIE NARODÓW

(Z „Referatu o programie partyjnym"*)

Powiada on (Bucharin), że nie można uznawać prawa narodów do samookreślenia. Naród — to znaczy burżuazja wraz z proletariatem. My, proletariusze, mamy uznawać prawo do samookreślenia jakiejś tam nikczemnej burużazji! To do niczego nie podobne! Nie, darujcie, jest to właśnie to, co jest zgodne z rzeczywistością. Jeśli to odrzucicie, pozostanie wam fantazjowanie. Powołujecie się na proces zróżniczkowania, odbywający się w łonie narodu, na proces wyodrębnienia się proletariatu od burżuazji. Ale zobaczymy dopiero, w jaki sposób to zróżniczkowanie się odbędzie.

Weźcie naprzykład Niemcy, wzór przodującego kraju kapitalistycznego, które pod względem organizacji kapitalizmu, kapitalizmu finansowego, stały wyżej niż Ameryka. Stały one niżej pod wielu względami, pod względem techniki i produkcji, pod względem politycznym, ale pod względem organizacji kapitalizmu finansowego, pod względem przeistoczenia kapitalizmu monopolistycznego w państwowo-monopolistyczny — Niemcy stały wyżej niż Ameryka. Zdawałoby się, że to wzór. A co się tam dzieje? Czy niemiecki proletariat wyodrębnił się od burżuazji? Nie! Wszak tylko o kilku wielkich miastach donoszono, że większość robotników tych miast jest przeciw szajdemanowcom. Ale jak to się stało? Za pomocą sojuszu spartakusowców z niemieckimi po trzykroć przeklętymi mieńszewikami — „niezależnymi", którzy wszystko plączą i chcą połączyć węzłem małżeńskim system Rad z Konstytuantą! Oto co się dzieje w tych właśnie Niemczech! A przecież jest to kraj przodujący.

Tow. Bucharin powiada: „Po co nam prawo narodów do samookreślenia?"

„Ja chcę uznawać jedynie prawo samookreślenia klas pracujących" —powiada tow. Bucharin To znaczy chcecie uznać to, czego w rzeczywistości nie osiągnięto w żadnym kraju prócz Rosji. To jest śmieszne.

Spójrzcie na Finlandię, kraj demokratyczny, bardziej rozwinięty, kulturalniejszy, aniżeli my. Odbywa się w niej proces wyodrębnienia, zróżniczkowania proletariatu, odbywa się swoiście, w sposób o wiele bardziej bolesny, aniżeli u nas. Finlandczycy doświadczyli dyktatury Niemiec, obecnie doświadczają dyktatury Ententy, i dzięki temu, że uznaliśmy prawo narodów do samookreślenia, proces zróżniczkowania został tam ułatwiony. Pamiętam bardzo dobrze scenę, kiedy w Smolnym wypadło mi wręczyć orędzie Swinhuwudowi — co w przekładzie na język rosyjski znaczy „świniogłowemu" — przedstawicielowi finlandzkiej burżuazji, który odegrał rolę kata. Uprzejmie ściskał on mi rękę, prawiliśmy sobie komplementy. Nie było to piękne! Ale trzeba to było uczynić, ponieważ burżuazja ta oszukiwała wtedy lud, oszukiwała masy pracujące, opowiadając, że moskale, szowiniści, Wielkorusi chcą zgnębić Finlandczyków. Należało to uczynić!

A czyż wczoraj nie trzeba było tego samego? w stosunku do Republiki Baszkirskiej? Kiedy tow. Bucharin mówił: „Można temu czy owemu to prawo przyznać", zanotowałem sobie nawet, że u niego w tym spisie znaleźli się Hotentoci, Buszmeni, Hindusi. Słuchając tego wyliczenia myślałem: w jaki sposób towarzysz Bucharin zapomniał o jednym maleńkim drobiazgu, zapomniał o Baszkirach" Buszmenów w Rosji nie ma, o Hotentotach też nie słyszałem, by pretendowali do Republiki autonomicznej, ale są przecież u nas Baszkirzy, Kirgizi oraz cały szereg innych narodów i im nie możemy odmówić przyznania tego prawa. Nie możemy tego odmówić żadnemu z narodów, mieszkających w granicach dawnego Imperium Rosyjskiego. Przypuśćmy nawet, że Baszkirzy obaliliby wyzyskiwaczy i pomoglibyśmy im to uczynić. Ale przecież to jest możliwe jedynie tam, gdzie przewrót całkowicie dojrzał. I trzeba to uczynić ostrożnie, żeby swoim wtrąceniem się nie zahamować właśnie tego samego procesu wyodrębnienia się proletariatu, który powinniśmy przyśpieszyć. Co więc możemy uczynić w stosunku do takich narodów, jak: Kirgizi, Sartowie, którzy dotychczas znajdują się pod wpływem swoich mułłów. U nas, w Rosji, ludność po długim doświadczeniu z popami pomogła nam ich obalić Ale wiecie, jak słabo jeszcze wszedł w życie dekret o ślubach cywilnych. Czy możemy zwrócić się do Sartów i powiedzieć: „Obalamy waszych wyzyskiwaczy"? Tego uczynić nie możemy, ponieważ są oni całkowicie podporządkowani swoim mułłom. Tu trzeba doczekać się rozwoju danego narodu, wyodrębnienia proletariatu od elementów burżuazyjnych, co jest nieuniknione.

Tow. Bucharin nie chce czekać. Ogarnia go zniecierpliwienie: „Z jakiej racji? Skoro sami obaliliśmy burżuazję, proklamowaliśmy Władzę Radziecką i dyktaturę proletariatu, z jakiej racji mamy tak postępować?". Działa to jak zachęcające wezwanie, jest wytyczną naszej drogi, ale jeśli tylko to będziemy proklamowali w programie, to otrzymamy nie program lecz proklamację. Możemy proklamować Władzę Rad i dyktaturę proletariatu oraz ogłosić całkowitą pogardę dla burżuazji, na którą po tysiąckroć zasługuje, ale do programu należy wnieść z absolutną ścisłością to, co jest realne. Wtedy programu naszego nie będzie można kwestionować.

Stoimy na ściśle klasowym punkcie widzenia. To, co notujemy w programie, jest uznaniem tego, co stało się w rzeczywistości po tym okresie, w którym pisaliśmy o samookreśleniu narodów w ogóle Wówczas nie było jeszcze proletariackich republik. Kiedy zjawiły się one i tylko o tyle, o ile się zjawiły, mogliśmy napisać to, cośmy tu napisali: „Federacyjne zjednoczenie państw organizowanych wg typu radzieckiego". Typ radziecki, to jeszcze nie Rady na wzór istniejących w Rosji, jednak typ radziecki staje się międzynarodowym. Tylko to możemy powiedzieć. Iść dalej, o krok dalej, o włos dalej—byłoby już niesłusznie i dlatego do programu się nie nadaje.

Powiadamy: trzeba się liczyć z tym, na jakim stopniu rozwoju znajduje się dany naród w drodze od średniowiecza do demokracji burżuazyjnej i od demokracji burżuazyjnej do demokracji proletariackiej. To jest bezwzględnie słuszne. Wszystkie narody mają prawo do samookreślenia, o Hotentotach i Buszmenach specjalnie mówić nie warto. Pod tę charakterystykę podpada ogromna większość, na pewno dziewięć dziesiątych, być może 95 proc. ogółu mieszkańców kuli ziemskiej, albowiem wszystkie kraje znajdują się na drodze od średniowiecza do burżuazyjnej demokracji lub od burżuazyjnej demokracji do proletariackiej demokracji. Jest to droga bezwzględnie nieunikniona. Więcej nie można powiedzieć, ponieważ będzie to niesłuszne, ponieważ nie będzie to odpowiadało rzeczywistości. Odrzucenie samookreślenia narodu i zastąpienie go samookreśleniem ludu pracującego byłoby całkowicie niesłuszne, ponieważ takie postawienie sprawy nie uwzględnia, z jakimi trudnościami, jak krętą drogą odbywa się zróżniczkowanie wewnątrz narodów. W Niemczech odbywa sę ono inaczej aniżeli u nas: pod pewnymi względami prędzej, a pod innymi powolniej i bardziej krwawo. U nas ani jedna partia nie wpadła na taki potworny pomysł jak skojarzenie Rad z Konstytuantą. Musimy przecież żyć obok tych narodów. Już teraz szajdemanowcy mówią o nas, że chcemy podbić Niemcy. Jest to naturalnie śmieszne i bezsensowne. Ale burżuazja ma właściwe interesy i własną prasę, która w setkach milionów egzemplarzy krzyczy o tym na cały świat, a Wilson we własnym interesie popiera tę kampanię. Bolszewicy posiadają ponoć wielką armię i za pomocą wojny chcą zaszczepić swój bolszewizm w Niemczech. Najlepsi ludzie Niemiec — spartakusowcy — opowiadali nam, że robotników niemieckich szczują przeciw komunistom: patrzcie, powiadają, jak u bolszewików jest źle! Żeby znów u nas było tak bardzo dobrze, tego powiedzieć nie możemy. I oto tam wpływają na masy za pomocą argumentowania, że rewolucja proletariacka w Niemczech oznacza takie same nieporządki, jak w Rosji. Nasze nieporządki — to nasza przewlekła choroba. Walczymy z ogromnymi trudnościami, budując u nas dyktaturę proletariatu. Dopóki burżuazja albo drobnomieszczaństwo, lub chociażby część niemieckich robotników ulega wpływom tego straszaka: „Bolszewicy chcą przemocą wprowadzić swój ustrój" — dopóty formuła „samookreślenie ludu pracującego" nie polepszy sytuacji. Musimy tak sprawę postawić, żeby niemieccy socjalzdrajcy nie mogli mówić, że bolszewicy narzucają swój uniwersalny system, który jakoby można przenieść do Berlina na bagnetach czerwonoarmistów. A z punktu widzenia negowania zasady samookreślenia narodów tak właśnie może sprawa wyglądać.

Program nasz nie powinien mówić o samookreśleniu ludu pracującego, albowiem jest to niesłuszne. Powinien on mówić o rzeczywistości. Skoro narody znajdują się na różnych stopniach rozwoju od średniowiecza do burżuazyjnej demokracji i od burżuazyjnej do proletariackiej demokracji, to owo twierdzenie naszego programu jest absolutnie słuszne. Na tej drodze mieliśmy bardzo dużo zygzaków. Każdy naród powinien uzyskać prawo do samookreślenia, to zaś sprzyja samookreśleniu ludu pracującego. W Finlandii proces wyodrębnienia proletariatu od burżuazji odbywa się w sposób nadzwyczaj jaskrawy, silny, głęboki. Tam w każdym razie wszystko odbędzie się nie w ten sposób jak u nas. Jeśli powiemy, że nie uznajemy żadnego finlandzkiego narodu a tylko masy pracujące, będzie to najzupełniej czczym aktem. Nie uznawać rzeczywistości nie można: sama ona zmusi, by ją uznano. Rozgraniczanie proletariatu i burżuazji dokonywa się w różnych krajach swoistymi drogami. W tej sprawie musimy działać jak najostrożniej. Szczególnie ostrożnym trzeba być w stosunku do różnych narodów, bo nie ma gorszej rzeczy aniżeli nieufność do narodu. U Polaków dokonywa się samookreślenie proletariatu. Oto ostatnie cyfry, dotyczące składu Warszawskiej Rady Delegatów Robotniczych: 333 delegatów z ramienia socjal-zdrajców, 297 z ramienia komunistów. Wskazuje to, że tam wg naszego rewolucyjnego kalendarza, do Października już niedaleko. Jest to jak gdyby sierpień, jak gdyby wrzesień 1917 roku. Ale po pierwsze, nie wydano jeszcze takiego dekretu, żeby wszystkie kraje miały żyć wg bolszewickiego rewolucyjnego kalendarza, jeśliby zaś został on wydany, to by się go nie trzymano. A po drugie, sprawa przedstawia się obecnie tak, że większość polskich robotników bardziej czołowych, ani-

*) Referat wygłoszony 19 marca 1919 r. na VIII zjeździe RKP(b) — skrót.

Wojciech Kozera

KTO PRZECIW NIEPODLEGŁOŚCI

W ciągu 32 lat budował Związek Radziecki socjalizm, utrwalał potencjał gospodarczy, niezawisłość i wolność narodów, skupionych w jego granicach. Był jedynym państwem, który w niesławnej pamięci Lidze Narodów i dziś w Organizacji Narodów Zjednoczonych całą powagą swego autorytetu bronił i broni wolności i niezawisłości narodów, skrępowanych i dławionych pętlą imperializmu. W przeciągu tych 32 lat zachodnio - europejska i amerykańska burżuazja otaczała go murem kłamstwa i oszczerstwa. Że chce zniszczyć europejską cywilizację (jakby nie niszczył jej właśnie imperializm), że zagraża dobrobytowi świata (jakby tego „dobrobytu" nie niszczyły kryzysy gospodarcze i imperialistyczne wojny), że jest mieczem damoklesowym niepodległości i samodzielności narodów. Koślawe kłamstwo siłą rzeczy zwróciło się przeciw insynuatorom. Co działo się w ciągu tych 32 lat w krajach kapitalistycznych?

Kapitalistyczna cywilizacja i kultura przeobraziły się w dławiącą obręcz narodów: miast dobrobytu przynosiły kryzysy, wojny i bezrobocie, miast wolności — niewolę, miast humanistycznej idei braterstwa narodów — bezustanne waśni i ujarzmienie narodów słabszych i mniejszych. Wyrastaniu potęg imperialistycznych — Anglii, Ameryki, Niemiec, Włoch, Japonii — towarzyszył stale potok uciemiężenia i krwi narodów Europy, Azji i Afryki. Wolność państw imperialistycznych jest zawsze uwarunkowana niewolą słabszych narodów. Jest to prawo tak nieuchronne, jak nieuchronnymi są wewnętrzne sprzeczności gnijącego kapitalizmu.

Spójrzcie na mapę świata — przeszłą i teraźniejszą. Niemcy zaczęły od Austrii, zagarnęły całą bez mała Europę, marzyły o zdobyciu całego świata. (Heute gehört uns Deutschland, morgen die ganze Welt). Japonia dążyła do ujarzmienia Azji. Anglia dziś jeszcze dusi narody Azji i Afryki. A Stany Zjednoczone? Myślą dziś o tej samej polityce, która w Niemczech skończyła się klęską Hitlera. Ich plany agresji są nie mniej „dalekosiężne" i nie mniej drapieżne. Tym bardziej, że nie mają już konkurentów.

Konieczność ujarzmienia narodów jest wewnętrzną koniecznością imperializmu. Wynika z kryzysów, które cyklicznie łamią gospodarkę kapitalizmu; z konieczności eksportu kapitałów, które siłą rzeczy prowadzą do ujarzmienia krajów, służących za rynek eksportowy; z potrzeby obcych rynków, których imperializm ma zawsze za mało i których niedostatek dławi go (stąd wojny, jako rezultat walki o rynki między mocarstwami imperialistycznymi); ze strachu przed rewolucją społeczną, która wyrasta ze schorzałego wnętrza imperializmu i jest z tego względu koszmarnym snem wielkich finansistów i monopolistów

Oczywiste, że wielcy imperialiści i ich ideologowie nieczęsto przyznają się do swych zamierzeń, rzadko ujawniają przed swymi narodami mechanizm, który zmusza ich do prowadzenia tej drapieżnej polityki. Są raczej skłonni przyozdabiać swą brutalność i cynizm wzniosłymi i tumaniącymi frazesami. Starają się ukazać złudne róże, ukrywając realne ciernie. Prawią o wolności, demokracji, niepodległości. Zapominają, że wolność zbrodniarza stanowi groźbę dla życia pracującego obywatela, że demokracja, w której potężny bankier i ubogi robotnik są sobie formalnie równi jest fikcją, jakich wiele istnieje w kapitalizmie. (w Ameryce kursuje anegdota, jak to pewien bogacz oświadczył ubogiemu żebrakowi, że obydwaj są sobie przecież równi: bankierowi nikt nie broni spać pod mostem, żebrakowi — w eleganckim łóżku. Zapomniał, naiwny, że on, bankier, **może** spać pod mostem, a żebrak **musi** tam spać). A niepodległość? Blum i Bevin stwierdzili po prostu, że idea niezawisłości narodowej jest anachronizmem społecznym. Zrezygnowali z zasady, która była kiedyś hasłem sztandarowym rewolucyjnego mieszczaństwa. Czyż nie jest oczywiste, że możnowładcy Stanów Zjednoczonych głosząc kłamliwie (i niepotrzebnie) jakoby byli obrońcami wolności narodów, przeczą temu, co mówią ich oddani służalcy w Europie, którzy zrozumieli już dawno, że idea niepodległości narodowej przeczy podstawowym założeniom imperializmu.

Zadaj sobie, czytelniku, pytanie: czy idea niepodległości może przynieść korzyści właścicielom wielkich banków, trustów i monopoli, którzy są w rzeczywistości i wiedzą o tym — wyizolowani ze swych narodów: czy idea niepodległości narodów nie jest bezpośrednim zagrożeniem ich panowania i własności? Bo naród — to są robotnicy i wszyscy pracujący, którzy coraz ostrzej atakują kapitalizm i coraz lepiej rozumieją bezmiar krzywdy, jaką on wyrządza narodom. Niepodległość narodu — oznacza wyodrębnienie się mas pracujących pod wodzą klasy robotniczej spod władzy kapitału. Oznacza wyzwolenie krajów kolonialnych, z których imperializm czerpie niezmierne zyski. Oznacza suwerenność pracujących. Oznacza wyzwolenie mas spod wpływu kapitalizmu

Nie trudno zrozumieć, dlaczego muszą kłamać imperialiści, którzy mówią jeszcze o obronie wolności narodów. Dlaczego pojęcie niepodległości przekształca się w ich ustach w frazes bez znaczenia? Bo czyż mogą bronić idei, która podważa imperialne monopole i mobilizuje przeciw nim coraz szersze kręgi mas pracujących i narodów kolonialnych?

Oczywiste jest dziś, że idea niepodległości jest nierozłącznie związana z socjalizmem, gdyż „robotnicy — jak mówi Stalin — walczą i walczyć będą przeciwko polityce ucisku narodów we wszystkich jej postaciach, od najbardziej wyrafinowanych do najbardziej brutalnych, jak również przeciwko polityce podjudzania we wszystkich jej postaciach.

"Dlatego socjaldemokracja wszystkich krajów proklamuje prawo narodów do samookreślenia". (Z artykułu Stalina: „Marksizm, a kwestia narodowa" pisanego w r. 1913, str. 15).

żeli nasi bardziej kulturalnych, podziela stanowisko socjal - „oboronczestwa", socjalpatriotyzmu. Należy przeczekać. Tu nie można mówić o samookreśleniu mas pracujących. Powinniśmy propagować to zróżniczkowanie. Robimy to, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie można obecnie nie uznawać samookreślenia narodu polskiego. To rzecz jasna. Polski ruch proletariacki kroczy tą samą drogą, co i nasz, kroczy ku dyktaturze proletariatu, ale nie tak, jak w Rosji. I tam straszą robotników tym, że moskale, Wielkorusi, którzy zawsze gnębili Polaków, chcą wnieść do Polski swój wielkorosyjski szowinizm, osłonięty nazwą komunizmu. Nie w drodze przemocy zaszczepia się komunizm. Jeden z najlepszych towarzyszy komunistów polskich, kiedy mu powiedziałem: „Wy zróbcie to inaczej", odpowiedział mi: „Nie, zrobimy to samo ale zrobimy to lepiej, niż wy". Takiemu argumentawi nie mogłem absolutnie nic przeciwstawić. Należy pozostawić możność spełnienia skromnego pragnienia — stworzenia Władzy Radzieckiej lepiej, niż u nas. Trzeba się liczyć z tym, że tam rozwój odbywa się nieco swoiście i nie można powiedzieć: „Precz z prawem samookreślenia narodów! Na prawo samookreślenia zgadzamy się tylko dla ludu pracującego". Samookreślenie to odbywa się w sposób bardzo skomplikowany i trudny. Oprócz Rosji nie istnieje nigdzie, i należy przewidując wszystkie stadia rozwoju w innych krajach nic nie dekretować z Moskwy. Oto dlaczego propozycja ta jest zasadniczo nie do przyjęcia.

Włodzimierz Lenin

Olbrzymek

WSPOMNIENIA STAREGO ROBOTNIKA*)

„Pamiętnik starego robotnika" — to historia kształtowania się świadomości proletariackiej na przełomie XIX i XX w. Jest to historia robotnika — który przechodząc od pierwotnych, prymitywnych form kapitalizmu do wyższych i bardziej rozwiniętych — dochodzi do zrozumienia jego wewnętrznych konfliktów i sprzeczności, aż osiąga pełną świadomość socjalistyczną. Kto jest jego przewodnikiem? Przede wszystkim sam kapitalizm. Autor pamiętnika przechodzi przez różne jego stadia — od cechowych do wielkofabrycznych, od drobnych rzemieślników i czeladników do fabrycznego proletariatu. Naprzód zobaczy strajk piekarzy, jeszcze prymitywny, nieskoordynowany przejaw walki rzemieślników nie pozbawipnych drobnomieszczańskich złudzeń, później walkę robotników fabrycznych — tych „dodatków do maszyny" — jak ich nazywa — którzy znajdują się już w świadomym konflikcie z kapitalizmem — w końcu partię.

W ciągu tej wędrówki kształtuje się jego świadomość klasowa. Tak jak kształtowała się w tych latach świadomość klasowa w przeważającej większości polskiego proletariatu.

Red.

Urodziłem się 16 sierpnia 1878 r. Ojciec mój, oficjalista rolny, obarczony liczną rodziną, postanowił mnie i młodszego brata mego oddać do terminu. W tym celu przywiózł nas w lipcu 1893 roku do Warszawy. Ale ponieważ majstrowie prawie wszystkich fachów nie przyjmowali chłopców do nauki bez dopłaty pieniężnej, wynoszącej od 100 do 150 rubli jednorazowo, więc mój ojciec nie chcąc, czy nie mogąc wydać takiej sumy, musiał znaleźć majstrów, którzy by chcieli przyjąć nas bez zapłaty.

Po przyjeździe do Warszawy rozpoczęliśmy z ojcem kilkudniową wędrówkę po majstrach różnych fachów. Wstrętna i poniżająca była ta wędrówka i targi z majstrami, którzy chcieli choć cośkolwiek dopłaty wydusić i w tym celu ganili zaofiarowany przez ojca towar. Mówili np.: „panie dobrodzieju, chłopców czuć wsią, mają na sobie niemożliwe ubrania, (matka szyła nam je własnoręcznie „na wyrost"), będą mi swoim wyglądem klientów wystraszać, są źle wychowani, stoją do nas tyłem, (rzeczywiście, wykręcaliśmy się obaj tyłem, bośmy płakali jak cielaki w przededniu szlachtuza), musi p. dobrodziej dać przynajmniej na ubranie". Dziś, kiedy to sobie przypominam, po latach prawie 40-stu, czuję wstyd i ból. Wtedy tylko płakałem.

Taki był mój wstęp do życia. Ja miałem lat 14, brat 12. Ostatecznie brata umieścił ojciec u biednego chałupnika-krawca z warunkiem, że będzie jednocześnie spełniał roboty domowe, a mnie u piekarza, bez żadnych warunków. Obydwóch na lat 4.

Piekarnia, do której się dostałem, była dość duża, pracowało w niej 12 czeladników, 4 chłopców-terminatorów i 6 robotników niewykwalifikowanych — tzn. parobków. Wszyscy dostawali całodzienne życie i mieszkanie. Czeladnicy i chłopcy mieli mieszkanie wspólne, składające się z jednego pokoju, o jednym oknie. W pokoju tym mieściło się 7 łóżek, duża szafa na ubranie, stół i jedno krzesło. Łóżka były piętrowe, tj. po 3 i 4 jedno nad drugim i wchodziło się na nie po specjalnej drabince. Urzędowy lekarz sanitarny, który miał nadzór nad piekarnią, do mieszkania naszego ani do piekarni nie zaglądał nigdy, ale za to bardzo szczegółowo badał stajnię i skład mąki i wychodził zawsze w dobrym humorze. Bieliznę pościelową zmieniano bardzo rzadko, zdaje się nie częściej, jak raz czy dwa razy do roku.

Nie wiem, czy pył mączny i zaduch mają to do siebie, że nie sprzyjają rozmnażaniu się robactwa; dość, że nie pamiętam, aby były tam pchły lub wszy. Zresztą ukąszeń robactwa, gdyby nawet było, nikt by nie zauważył, bo każdy z nas spał już, włażąc po drabince na barłóg. Czeladnicy spali po 2—3-ch. Chłopcy do 3—4-ch, bo łóżka były dość szerokie. Tak się spało tylko przez zimę. Latem przenosiliśmy się „na letniaki", tj. na górę nad stajniami i magazynem na siano. To była naprawdę rozkosz. Spał, gdzie i jak kto chciał.

Praca nocna zaczynała się zwykle o godz. 5-tej po południu i trwała do godz. 1-szej w nocy; dzienna od 5-ej rano do 12—1 w południe. Dzień roboczy wynosił więc 15—16 godzin. Życie było dobre i obfite. Czeladnik otrzymywał na dzień: jakąś jarzynę, zupę i 1 funt mięsa, chłopiec to samo i pół funta mięsa. Na śniadanie 2 szklanki kawy białej i na kolację dowolną ilość herbaty.

Praca była bardzo ciężka i żmudna, robiło się wszystko rękami. Ale najcięższą pracą było wyrabianie ciasta. Np. do ciasta żytniego, chlebowego, lało się zwykle 25—26 pięciogarncowych wiader wody i sypało 8 do 10-ciu pięciopudowych worków mąki i taką masę wyrabiało na ciasto 3-ch a nawet 2-ch ludzi. Ciasta białego bułkowego było 15—17 wiader i wyrabiało go, jako trzy razy cięższe do wyrobienia, 7—8 ludzi, w małych dozach. Następnie ciężką pracą było noszenie wody i mąki do bajt (koryt), w których się miesiło ciasto, oraz stawianie desek z bułkamii czy chlebem „na górę", (2 równoległe belki umocowane w ścianach na wysokości człowieka), aby tam rosły, noszenie ich do pieca itp. Taka deska z chlebem ważyła od 25 do 32 funtów, z bułkami — 8 do 15 funtów.

Czeladnicy dzielili się na odpowiedzialnych i pomocników. Odpowiedzialnymi byli: werkmajster, tj. piecowy i wajskneter, tj. odpowiedzialny za jakość białego pieczywa, oraz brotszyber i szwarckneter, tj. wypiekający i odpowiedzialny za chleb. Najwyższą płacę pobierali werkmajstrzy, 20 do 25 rb. miesięcznie, następnie wajsknetrzy 18—20 rb.; to samo pobierali: brotszyber i szwarckneter, a pomocnicy 12 — 14 rb. Robotnicy niefachowi otrzymywalii 6—7 rb. miesięcznie. Chłopcy-terminatorzy żadnej zapłaty nie pobierali otrzymując w naturze: ubranie, obuwie, bieliznę i fartuchy. Fartuch taki nosiło się na gołym ciele (bieliznę nakładało się tylko w czasie dużych chłodów). Był on tak szeroki, że się nim owijało, jak spódnicą, a zdejmowało się tylko wtedy, jak się rozdarł i trzeba go było sklejać ciastem, a na reperowanie igłą i nićmi nie było czasu, — albo, jak się już podarł zupełnie, tj. raz na kilka tygodni.

* * *

Większość piekarzy, jakich zastałem i poznałem później, umiała czytać i pisać i za składkowe pieniądze prenumerowała „Kurier Warszawski". Starzy piekarze odznaczali się nawet pewną inteligencją, lubili mówić o polityce i bardzo ich interesowała głośna wówczas sprawa panamska i wojna w Syjamie. Niezupełnie orientowali się, w jakiej części świata leżą Syjam i przesmyk Panamski.

Bardzo mi się tu przydała pewna znajomość geografii, jaką wyniosłem z domu. Zapytany objaśniłem gdzie leżą te kraje, przez co uzyskałem szacunek, co jednak nie przeszkodziło mi otrzymywać pewnej porcji bicia i wymyślań. Za to od starych piekarzy usłyszałem po raz pierwszy o rzezi galicyjskiej 46 roku, kiedy „panów" piłą rżnięto, o Komunie Paryskiej, kiedy to zapędzano „panów" do roboty i karmiono szczurami, o tym, że w Polsce istniała partia „Proletariat", coś niecoś o jej działalności, a więc o Rudym Adamie (Kunickim), który, choć sam pański syn i akademik, chciał, żeby była rewolucja, tj. żeby rżnięto panów, (pod mianem „panów" rozumiano nie tylko dziedziców ale i majstrów, przedsiębiorców itp.) o sędzi z Zakroczymskiej ulicy, który sądził sprawiedliwie i zawsze uniewinniał biedaków, o rzezi w Krożach i Żyrardowie. Zdaje się, że żaden z opowiadających o proletariatczykach, członkiem organizacji nie był, ani nic z jej wydawnictw nie czytał, a każdy dowiedział się gdzieś również z opowiadań czyichś w knajpie na ucho, bo oprócz faktów rzeczywistych opowiadano utwory fantazji, np., że w czasie aresztowania jednego z proletariatczyków zastrzelił on dwu żandarmów i szpiega, że sędzia z Zakroczymskiej (Bardowski) zasztyletował adwokata Żyda (dlaczego koniecznie Żyda, który go wsypał itp.

Nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy, o co ci ludzie walczyli, w imię czego umierali, aleśmy czuli, że chodziło o to, aby lepiej było żyć na świecie takim bitym i kopanym biedakom, jak my i czciliśmy ich jak świętych. Chlubiliśmy się piekarzem-anarchistą, który zabił prezydenta Carnota — przede wszystkim dlatego, że zabił kogoś w rodzaju króla czy cesarza, a po wtóre, że zrobił to piekarz i czyn swój przypłacił życiem. W ogóle zaczynaliśmy, choć bardzo powoli, przychodzić do przekonania, że położenie nasze może się zmienić tylko przez walkę. Często przy haniebnych obstalunkach na pieczywo, wymagających dłuższej i cięższej pracy, starzy piekarze, wymyślając naturalnie poza plecami majstra, mawiali: „48 roku trzeba na tych łajdaków, albo Komuny Paryskiej". Były to niewątpliwie pierwsze przejawy antagonizmu klasowego, wywołane nie tylko przez dziki wyzysk, ale i przez uświadomienie sobie faktu, że nie ma możności przejścia z szeregów wyzyskiwanych do szeregów wyzyskujących.

Nie było już wówczas prawie żadnej możności zostania majstrem samodzielnym. Na założenie choćby najmniejszej piekarni trzeba było mieć 400—500 rubli, tj. taką sumę, jakiej piekarz nie mógł odłożyć z pracy rąk swoich, nawet stale pracując w przeciągu kilku lat i odmawiając sobie dosłownie wszystkiego. Takie było podłoże uświadomienia klasowego, zdaje się nie tylko u piekarzy, ale u rzemieślników w ogóle. W każdym razie „dobre, stare" patriarchalne stosunki pomiędzy robotnikiem-czeladnikiem a majstrem-przedsiębiorcą należały już do przeszłości.

* * *

Żyliśmy w okresie ogromnego rozkwitu przemysłowego w Polsce, przede wszystkim w Warszawie. Raptowny napływ ludności wywołany przez ten rozkwit — dokonał przewrotu w piekarstwie. Stare patriarchalne warsztaty, których właściciele - majstrowie cechowi, nie chcieli i nie umieli przystosować się do nowych warunków — nie były w stanie zadowolić stale wzrastającego zapotrzebowania na pieczywo.

Zaczęły powstawać nowe piekarnie, zakładane nie przez majstrów cechowych, lecz przez zwykłych przedsiębiorców, którzy dla kierownictwa fachowego brali majstrów spośród piekarzy. Piekarstwo przestało być rzemiosłem, stało się **przemysłem.** Przedsiębiorcy ci zależnie od posiadanego kapitału zakładali piekarnie o 3—4 piecach na 15—30 robotników, a nawet o 10—15 piecach na 60—80 i więcej robotników z zastosowaniem maszyn do wyrobu ciasta, na razie tylko chlebowego. Maszyny do wyrobu ciasta białego były jeszcze zbyt drogie i w zastosowaniu do mąki rosyjskiej — za słabe. Dla powiększenia zysków majstrowie poszli w dwóch kierunkach: po pierwsze, lepszej organizacji i intensyfikacji pracy tzn. bardziej intensywnego wyzysku robotnika, bo żadnych prawie ulepszeń technicznych nie wprowadzali i po drugie, zaczęli prowadzić piekarnie bardziej racjonalnie pod względem handlowym, tj. zakupywać mąkę, węgiel, drzewo itd. w okresach, kiedy były one najtańsze i w dużych ilościach, a co najważniejsze, zaczęli używać prawie wyłącznie mąki rosyjskiej, tak do wypieku bułek jak i do chleba; mąka ta dawała 55 do 65 proc. przypieku i wytrzymywała dużą fermentację, tj. dawała pieczywu duży wzrost i ładny kolor, a mąka krajowa nie posiadała tych własności i dawała zaledwie przypieku 25—30 proc.

* * *

Jesienią 1895 r. przedsiębiorca nasz, idąc za przykładem swoich kolegów, postanowił zreorganizować swoje przedsiębiorstwo tak pod względem handlowym jak i pod względem większej wydajności pracy. W tym celu wydalił kilku czeladników, ale za to znacznie powiększył obstalunki na pieczywo, wynająwszy na mieście parę sklepów dla jego sprzedaży. Przerwy w czasie pracy zostały zmniejszone przez nowego majstra (który oprócz pensji otrzymywał jakieś procenty od obrotu), do kilkunastu minut potrzebnych na przyjęcie posiłku, a przerwy 5—6 godzinne między pracą dzienną a nocną do 3—4 godzin w dzień i z 3 godz. na dwie — w nocy. Jednocześnie żona naszego „chlebodawcy", z którą się w tym czasie ożenił, wstrętny typ staromiejskiej przekupki, wzięła się bardzo energicznie do reorganizacji kuchni. Zaczęliśmy dostawać życie coraz gorsze i w coraz mniejszych ilościach. Mięso zamiast 7 razy tygodniowo, dawano tylko 5 razy (dwa dni tj. w środę i piątek musieliśmy pościć) i w ilości zmniejszonej o połowę i często śmierdzące.

Czeladnicy protestowali, odsyłali obiady do kantoru przedsiębiorstwa, wymyślali dużo i głośno, tak że nie mogła tych wymyślań nie słyszeć p. pryncypałowa. I często przywoływali samego przedsiębiorcę, aby się przekonał, że obiad jest niemożliwy do jedzenia. Wtedy miewała miejsce taka scena: pryncypał powąchawszy, kazał przywołać żonę, zwracał się do niej. „Marcysiu, to mięso rzeczywiście śmierdzi", „ależ Florciu, tobie się tylko zdaje, nic podobnego, tylko tym panom (tj. czeladnikom) sprzykrzyło się pracować u nas i dlatego grymaszą". Florcio robił głupią minę i w sekrecie przed Marcysią posyłał po parę funtów wędliny i butelkę wódki, aby piekarzy nie doprowadzać do ostateczności. Coraz częściej wódka była stosowana przez pryncypała, jako środek łagodzący zatargi o złe odżywianie i nadmiar pracy.

Tak było w stosunku do czeladników. A my, terminatorzy, częstośmy się kładli spać bez obiadu, bo jeść go nie było można. Kłóciliśmy się z kucharką, wymyślaliśmy już całkiem po piekarsku i na tym się musiało kończyć.

Byliśmy zupełnie bezbronni. Ponieważ trzeba było mieć siły do pracy, więc żywiliśmy się tym, cośmy mieli w piekarni: z mąki i jajek robiło się kluski, kupując na wspólny koszt słoninę. Cukier przeznaczony do ciasta brało się do herbaty, bo wydawanych 8 kostek na dobę nie starczało. Ale i to trwało niedługo, bo kiedy pryncypałowa zauważyła, że cukru i jaj wychodzi za dużo, zaczęła do cukru dosypywać soli, a jaja wydawała majstrowi na sztuki.

Po paru miesiącach takiej szarpaniny, my terminatorzy, było nas 5, zdecydowaliśmy się pójść do pryncypała i prosić o polepszenie życia. Pryncypał zdziwił się trochę ale przyjął nas dość grzecznie i obiecał pomówić z panią*). Po tej niebywałej manifestacji życie poprawiło się trochę na pewien czas, ale kiedy nadszedł jakiś post, zaczęto nas znowu głodzić karmiąc śledziami i zupą ze śmierdzących ryb. Na czeladników przestała już działać majstrowska wódka i często odsyłali ją do kantoru razem z niedojedzonym obiadem. Żyli właściwie za własne pieniądze i za nie upijali się coraz częściej, aby zrobić awanturę i porzucić pracę.

* * *

Wybuch nastąpić musiał i nastąpił w formie mniej więcej zorganizowanego strajku, dzięki temu, że piekarze byli już przeszło od roku w kontakcie z organizacją socjalistyczną (PPS).

Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj, choć minęło już prawie lat 30.

Wiadomość o rozpoczęciu strajku i odezwę przyniesiono do piekarni akurat po skończeniu pracy. Odezwa odhektografowana na ogromnych arkuszach papieru zaczynała się od słów: „Towarzysze piekarze".

Widziałem starych piekarzy, którym przy czytaniu tej odezwy łzy ciekły po zapijaczonych twarzach. Więc nie bydło robocze, nie zwierzęta dwunożne, a „towarzysze", my,— towarzysze...

Nastrój ten zrozumieć i odczuć mogą tylko ci towarzysze — robotnicy, którzy sami byli mocno bici i kopani i dla których słowo „towarzysz" i „strajk" były nie terminami zwyczajowymi albo technicznymi, lecz stwierdzeniem uroczystym ich przynależności do wielkiej Rodziny Robotniczej. Jeden z piekarzy czytał odezwę na głos: „Towarzysze piekarze, wzywamy Was do strajku, do walki o bardziej ludzkie warunki pracy i bytu".

Nie jestem w stanie i nie silę się na to, aby opisać nastrój, jaki zapanował po odczytaniu tej bardzo krótkiej i bardzo prostej odezwy, ogłaszającej strajk, ale przekonany jestem i twierdzę, że moment ten miał bardzo wielkie, może nawet decydujące znaczenie, abyśmy my, piekarze, poczuli się ludźmi. Że nastrój taki panował wszędzie, dowodzi fakt, że w przeciągu trzech godzin przyłączyły się do strajku wszystkie piekarnie chrześcijańskie w Warszawie.

O porozumieniu się z piekarniami żydowskimi nie było jeszcze mowy, choć mieli już oni swoją organizację i strajkowali na 3 dni przed nami, tj. 24 lipca. Piekarze chrześcijanie pracujący w piekarniach żydowskich strajkowali wcześniej**). Również, choć tylko formalnie, nie brali udziału w strajku terminatorzy, uważani jeszcze przez większość czeladników za pewnego rodzaju inwentarz majstra czy przedsiębiorcy, pozostający pod jego wyłączną opieką aż do wyzwolenia się na czeladnika. W odezwie strajkowej również nie było mowy o chłopcach, mówiło się o piekarzach w ogóle, a piekarzem mógł się nazywać tylko czeladnik. Nie byli piekarzami, a więc w strajku udziału brać nie mogli również tzw. parobcy, tj. robotnicy niefachowi, pracujący jako pomoc w piekarni albo rozwożący pieczywo.

Do nich czeladnicy odnosili się ze specjalną pogardą nazywając ich „kaframi"***).

---

*) Przedruk z „Z pola walki", nr 4 (skrót).

*) Od tego czasu nabraliśmy przekonania, że kobieta, aby stać się „panią", musi kogoś eksploatować. Bo kucharce mówiło się: Szadkowska, a służącej — Marysiu.

**) Piekarzy Żydów do chrześcijańskich piekarń nie przyjmowano nigdzie w Polsce. W Rosji pracowali.

***) Jak haniebnie podły był stosunek czeladników do parobków może świadczyć fakt, że nie tylko w wypadkach zatargów pomiędzy przedsiębiorcami i majstrami a parobkami czeladnicy stawali zawsze po stronie pierwszych, ale i w wypadkach, kiedy majster czy przedsiębiorca chciał za coś ukarać parobka, a nie ufał własnym siłom, wtedy fundował zaufanym czeladnikom parę butelek wódki i sprawa była załatwiona, parobek został „ukarany sumiennie".



Ofiara kapitalizmu
(To zdjęcie „Tygodnik Ilustrowany" Nr „ z 1907 r. opatrzył podpisem „Ofiara strajków"

Zostali oni wciągnięci do strajku i do związku dopiero w roku 1905.

W roku 1897 strajkowali tylko czeladnicy i wystawione żądania dotyczyły tylko ich. Tradycje cechowe były jeszcze tak silne, że nawet organizacja strajkowa, pozostająca pod wpływem partii socjalistycznej nie ważyła się im przeciwstawić. Na trzeci dzień strajku, tj. 29 lipca zostało naznaczone walne zebranie strajkujących na Placu Witkowskiego pod gołym niebem. Ale kiedy policja zabroniła tego, organizacja strajkowa dała hasło, aby się zebrać na polu Mokotowskim (gdzie dziś mieści się lotnisko).

Około południa zebrali się prawie wszyscy strajkujący w ilości około 600 osób. Było to jedno z najoryginalniejszych zebrań, jakie Warszawa kiedykolwiek widziała. Każdy postronny widz przysiągłby, że jest to zebranie dziadów, kalek, oberwańców, czy inwalidów. Nikomu do głowy nie przyszło, że to zebrali się robotnicy „czeladnicy" — wytwarzający swoją pracą pieczywo dla mieszkańców już wtedy 800.000 miasta. Większość zebranych miała na sobie ubrania porwane i zamączone, a duża ilość miała na sobie jak przy pracy niebieskie fartuchy, przypominające kobiece spódnice.

Ponieważ przynajmniej połowę zebranych znałem osobiście*), więc przytoczę dla charakterystyki pseudonimy niektórych. A więc byli tam: Iks, Koślawy Ludwik, Koślawy Mieciek, Wiwat**), Serek, Fura Dziadów, Kapitan obdartej gwardii, Jurdyk - krzywa morda (podobno w terminie uderzono go tak silnie w twarz, że wykrzywiła mu się na zawsze). Kurwa - złodziej, Kufore, Stary Albin (ten miał rupturę wielkości głowy cielęcej), Kon, Mamka, Andrzej bez nogi (stracił ją w powstaniu w 63 roku), Hrabia Pentałka, Krowa, Kobyła, Żółw, Ślepy Stasiek, Pasyjka, Jasnokościsty itp. Przytoczyłem tylko niektóre pseudonimy, charakteryzujące jakąś specjalną cechę ich posiadaczy.

Kiedy cała ta falanga znalazła się na polu Mokotowskim, to ustawiła się w ten sposób, że na front w stronę miasta wysunięto koślawych, najbardziej oberwanych i ubranych tylko w fartuchy. Zdaje się — mówił coś Rudy Adam, czy Janeczek Koperski.

Nadjechał powozem ówczesny oberpolicmajster warszawski, gen. Klejgiels, w asyście kilkunastu kozaków.

Wkrótce nadeszła grupa policjantów, złożona z kilkudziesięciu osób i stanęła koło zebranych piekarzy nie zaczepiając nikogo.

---

*) Przez 4 lata co najmniej 300 piekarzy pracowało w piekarni, w której terminowałem.

**) Koślawy Ludwik, Iks, Wiwat i Serek mieli tak silnie wykoślawione nogi od kolan na zewnątrz, że kolanami prawie dotykali ziemi, wyglądali karykaturalnie i stąd pseudonimy. Np. Wiwat, nie nachylając się dostawał rękami do ziemi, nogi wykrzywione, choć nie w takim stopniu, miała większość i to już nie zwracało uwagi.

Klejgiels nie wysiadając z powozu zwrócił się do zebranych z zapytaniem, po co się zebrali. Nie otrzymawszy określonej odpowiedzi, bo wielu chciało mówić, kazał wybrać paru *), aby mu objaśnili, jakie są żądania strajkujących. Wtedy wysunięto jako delegatów: Serka, Żółwia, Iksa i Kapitana obdartej gwardii, tj. kaleki i obdartusów. Kiedy ci delegaci zbliżyli się do niego, jego „jasno oświeconość" raczył się wyrazić: „tfu, czto za czortowa kikimora" i zaczął słuchać delegacji, która mu opowiadała, jak ciężka jest dola piekarzy, że od nadmiernej pracy mają powykrzywiane nogi, a tak mało zarabiają, że nie mają za co sprawić sobie ubrania. Nie dosłuchawszy płaczliwego opowiadania Żółwia czy Serka, Klejgiels półgłosem wydał jakieś rozporządzenie i odjechał.

Po jego odjeździe policja okrążyła zebranych i podzieliwszy na kilka grup poprowadziła do miasta, do cyrkułu dla sprawdzenia tożsamości osób i miejsca zamieszkania.

Podobno istniał zamiar wysłania etapem wszystkich niezamieszkałych w Warszawie, ale kiedy sprawdzono w cyrkułach, że z przeszło 500 aresztowanych zaledwie trzecia część jest zameldowanych, a więc zamieszkałych w Warszawie — zamiaru tego zaniechano. Mówiono, że Klejgiels wydał kategorycznie rozporządzenie cechowi piekarskiemu, żeby strajk został zakończony w przeciągu 24 godzin, wobec spodziewanego za kilka dni przyjazdu Mikołaja do Warszawy. Dość, że 30 lipca, tj. na drugi dzień po manifestacji na polu Mokotowskim z rana wszyscy majstrowie i przedsiębiorcy zakomunikowali swoim piekarzom, że zgadzają się na wszystkie wystawione żądania. Strajk został zakończony i nocna zmiana z 30 na 31 lipca przystąpiła do pracy. Wszyscy aresztowani z pola Mokotowskiego zostali po kilku czy też po kilkunastu godzinach zwolnieni. Z 11 zdaje się aresztowanych na skutek denuncjacji majstrów i przedsiębiorców, zwolniono 10. Zatrzymano w więzieniu tylko Jana Koperskiego, który siedział za ten strajk 10 miesięcy w 10 pawilonie jako, zdaniem policji, główny jego kierownik.

Strajk ten miał dla piekarzy ogromne znaczenie. Przede wszystkim został ustalony dzień roboczy. Była to zdobycz pierwszorzędnej wagi, jeżeli wziąć pod uwagę, że przedtem samo pojęcie „dzień roboczy" było w piekarstwie zupełnie nieznane wobec technicznie koniecznej ciągłości pracy (stawianie rozczynów i kwasów na 6—8 godz. przed robieniem z nich ciast). Nawet samym robotnikom wydawało się czymś niemożliwym, aby procesy wytwarzania pieczywa można było rozerwać na dwie połowy, tj. aby jedna zmiana stawiała rozczyn, a następna robiła z niego ciasta i z ciast robiła pieczywo; potrzeba było paru miesięcy, aby się do tego przyzwyczaili, że praca jest dla nich, a nie oni dla pracy. Niemniej ważną zdobyczą było zniesienie życia i mieszkania w piekarniach, które z robotnika robiły faktycznego niewolnika przedsiębiorcy na czas nieokreślony. Najmniejsze znaczenie miała podwyżka płac, wahająca się, o ile sobie przypominam, od 5 do 10 rb. miesięcznie. Wartość otrzymywanego poprzednio życia na razie do zarobków nie doliczano, a płacono oddzielnie wg nieustalonej normy od 35 do 60 kopiejek dziennie, tak że przeciętny zarobek piekarza wynosił tyg. od 7 do 11 rb.

---

*) W ten sposób chciał się dowiedzieć, kto to są kierownicy strajku, aby ich schwytać.

Czy po strajku piekarze zaczęli się lepiej odżywiać, bardziej po ludzku mieszkać, ubierać się i używać ludzkich rozrywek? Stanowczo tak. Choć dzień roboczy nawet dla mocnego organizmu był bardzo wyczerpujący, to jednak ze względów czysto technicznych mógł być ściśle stosowany tylko w piekarniach dużych, jakich było zaledwie parę i tzw. parowcach, wypiekających sam chleb. W większości piekarń praca trwała niewiele ponad 10 godz. a czasami mniej nawet, więc czasu było dostatecznie, żeby się wyspać, a nawet pozostawało parę godzin, z którymi trzeba było coś zrobić.

* * *

Po odejściu z terminu zamieszkałem na Pradze u rodziców przyjaciela mego towarzysza, Kazimierza Cajlera. Ojciec jego był inwalidą tureckiej wojny z roku 1878 i pracował jako magazynier bielizny kąpielowej w łaźni, a matka w tejże łaźni pracowała jako praczka. Oprócz mego przyjaciela mieli jeszcze czworo nieletnich dzieci. Mieszkanie składało się z jednego, o jednym oknie, pokoju.

Gospodarze moi codziennie wczesnym rankiem szli oboje do pracy, a wracali dopiero o godz. 7—8 wieczorem, w domu jeść gotowali tylko w niedzielę i święta. Na dzień dwoje młodszych dzieci odprowadzano do ochronki, a starsze spędzały czas w pobliskim parku. Jedni i drudzy karmili się chlebem i wędliną, jaką im zostawiali na cały dzień rodzice. Ponieważ mieszkanie było ciasne, więc miałem łóżko wspólne z najstarszym chłopcem. Płaciłem za mieszkanie 2 rb. miesięcznie.

Zabezpieczywszy się z mieszkaniem zapisałem się do czytelni Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, aby mieć książki, których byłem tak bardzo spragniony.

Nie wiedziałem, co czytać pierwej i jak czytać. Kiedy zapytałem o to studenta, wydającego książki, dał mi on historię Polski, a później sam już sobie wziąłem historię cywilizacji Seignobosa i Buckla. Historię powszechną przeczytałem dopiero w X Pawilonie. Z historii Polski dowiedziałem się i zrozumiałem tylko tyle, **że byli tacy to i tacy królowie i panowie, którzy przez 800 lat darli się między sobą o to, kto ma rządzić i korzystać z rządzenia Polską, ale czym był naprawdę ten majątek i na czyj koszt odbywała się ta 800-letnia zabawa, nie dowiedziałem się nic.** Chłop - robotnik, który pracą swoją utrzymywał to wszystko, był tylko „tłem tego pięknego obrazu", jak mówi polski pisarz Gomolicki. Ale jak to się stało, że ten chłop-robotnik, ten „smerd" dobrowolnie godził się być tylko bydlęciem roboczym, na to pytanie znalazłem odpowiedź znacznie później.

O buntach chłopskich w Polsce dowiedziałem się z powieści Kraszewskiego. Z hisorii cywilizacji dowiedziałem się, że to, co jest obecnie, to jest ten ustrój społeczny, nie istniał zawsze, bo się wszystko na świecie zmienia i udoskonala, „ulega powolnej lecz systematycznej ewolucji", którą Seignobos specjalnie podkreśla. Od Buckla dowiedziałem się, że w całej historii ludzkiej istnieje prawo przyczyn i skutków, że Wielka Rewolucja Francuska była skutkiem strasznego ucisku i wyzysku króla i panów francuskich w stosunku do chłopów i robotników-rzemieślników. Buckle dał mi najwięcej, nauczył mnie myśleć.



Wiec robotniczy

Pomocy w nauce nie miałem od nikogo, a kiedy zwróciłem się do znajomego inteligenta o pomoc, wyśmiał mnie. „Po co piekarzowi nauka, powinien dążyć do tego, aby mieć własną piekarnię, a do tego nauka, np. znajomość historii, jest niepotrzebną. Polska ma aż za dużo inteligentów i uczonych, ale brak jej dobrych rzemieślników".

Więcej się o taką pomoc nie zwracałem nigdy do nikogo z inteligentów, za wyjątkiem tow. Trusiewicza. Musiałem dawać sobie radę sam, o ile mi nie mógł czegoś objaśnić nikt z tow. robotników. Czytałem regularnie „Robotnika", z którego dowiadywałem się o warunkach pracy w fabrykach i warsztatach i coś niecoś o sprawach politycznych, czego po większej części nie rozumiałem. Najwięcej dały mi broszury W. Liebknechta: „W obronie prawdy" i „Wiedza to potęga". Dały mi one dużo materiału do myślenia, ale i uzasadniły naukowo to, czego nauczyło mnie życie, tj., że my robotnicy pracujemy na majstrów i przedsiębiorców, a nie oni na nas, i że następstwem tego jest i być musi antagonizm klasowy, wywołany przeciwieństwem interesów, przejawiający się codziennie na każdym kroku. Najbardziej „naukowa" książka nie była w stanie przekonać mnie, że jest to „wymysł" socjalistów i że w rzeczywistości istnieje zupełna zgodność interesów. Miałem pewne wątpliwości, jak się powinni zachować robotnicy np. wobec otwierania nowych fabryk i powstawania nowych gałęzi przemysłu. Dążą do tego we własnym interesie kapitaliści, ale jest to dobre i dla robotników, bo daje im pracę, tj. możność zarobków i nie zmniejszając wyzysku stwarza jednak pewną wspólność interesów. Drugą wątpliwością była kwestia, czy my robotnicy stawiając swoje żądania w walce z kapitalistami powinniśmy się liczyć, aby ich wysokością nie zabić danego przedsiębiorstwa czy gałęzi przemysłu? Takich wątpliwości większych i mniejszych miałem dużo, jak i najbliżsi towarzysze, z którymi się stykałem.

Czy mieliśmy już jaki określony światopogląd? Tak i nie. Tak, o ile chodziło o nasz stosunek do społeczeństwa burżuazyjnego i państwa. Uważaliśmy, że istnieją tylko dwie sytuacje. Pierwsza, że się kogoś wozi na swoim karku i druga, że się jest wożonym. Należeliśmy do pierwszej, stosunek był ja-



Do pracy



„Fajerant"



Po wypłacie

sny, nienawidziliśmy społeczeństwa i państwa. — Nie, o ile chodziło o nasz stosunek do religii, wiary (choć osobiście przestaliśmy już wierzyć i gardziliśmy świętymi („bykami"), do burżuazyjnej nauki, do inteligencji.

* * *

Ówczesne „społeczeństwo" polskie było rzeczywiście bardzo syte i wysoce zadowolone „z dobrych czasów" i samo z siebie i miało po temu poważne powody, bo program tzw. „pracy organicznej" został już prawie urzeczywistniony.

Wspaniały rozwój przemysłu, szczególnie włókienniczego i metalowego doszedł w tym czasie, jak pisały gazety, do zenitu, dzięki wywozowi do Rosji i (jak się o tym dowiedziałem później) dzięki cłom ochronnym, zabezpieczającym od zagranicznej konkurencji *). Poza tym w Warszawie, a pewnie i w innych miastach powstały dziesiątki i setki fabryk, fabryczek i warsztatów, które wyrabiały i wysyłały do Rosji setki tysięcy i miliony par obuwia, ubrań, rękawiczek, kwiatów sztucznych itp. Pracowało przy tym w samej choćby Warszawie 20 tys. szewców (według Prusa).

Był to naprawdę świetny, niebywały okres rozwoju przemysłu i handlu w Polsce. Gazety zachłystywały się z radości, że w „naszym kraju" (słowa „ojczyzna" bały się nawet pomyśleć, aby nie dostać za to w pysk od najbliższego policjanta) kwitnie dobrobyt **). Czasem tylko i to bardzo ostrożnie mruknęły coś, że niestety ten dobrobyt i łaski „najjaśniejszego" w małym tylko stopniu dotyczą ziemiaństwa i inteligencji. I rzeczywiście, jak to można było sądzić z „Kronik" Prusa, ziemianie, tj. szlachta, bankrutowali, a masa inteligencka (nauczyciele, literaci, artyści) cierpiała prawdziwą nędzę i przychodziła do przekonania, że jest jej za wiele, „Najjaśniejszy pan" nie pozwalał ich przyjmować do urzędów carskich a najjaśniejszy kapitał nie potrzebował ich tylu, ilu ich było do wzięcia.

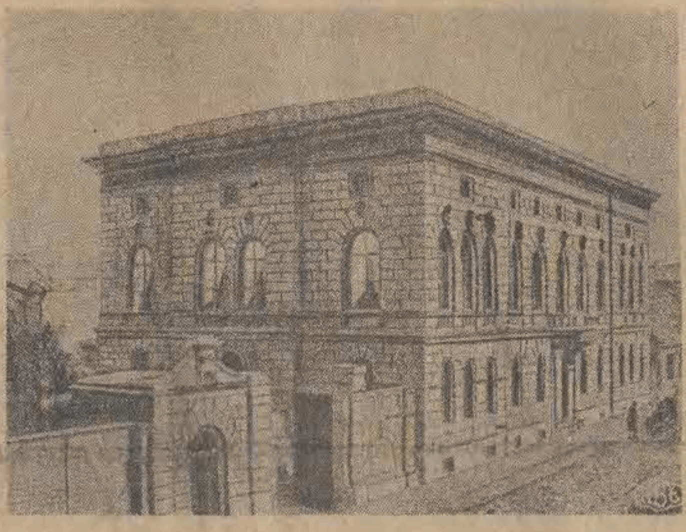




Domy fabryczne i robotnicze



Domek fabrykanta w 1835



„Domek" fabrykanta w 20 lat później

Inaczej było z robotnikami, ci mieli do sprzedania tylko swoją siłę roboczą, a nie sumienie i cześć. A na tę siłę był duży popyt i nie przypuszczam, aby w tym czasie Warszawa liczyła ponad paruset bezrobotnych, bo gazety ciągle pisały o braku robotników.

Tym boleśniej musiałem odczuwać swoje przymusowe próżniactwo, widząc dookoła ludzi zajętych pracą i względnie sytych. Do cięższej pracy fizycznej, nie wymagającej żadnych kwalifikacji, np. przy robotach kanalizacyjnych czy ziemnych przyjąć mnie nie chciano, bo byłem mały i szczupły. Chodziłem po różnych fabrykach i warsztatach, jakie się ogłaszały w gazetach, że potrzebują robotników i chłopców.

W ten sposób pracowałem kolejno w kilku drukarniach, w litografii, szlifierni szkła i fabryce szuwaksu. Nie pamiętam już dzisiaj, z jakich powodów wydalano mnie, dość, że pracowałem w tych zakładach zaledwie po parę dni. W szlifierni szkła pracowałem najdłużej i stosunek majstra-przedsiębiorcy był do mnie bardzo dobry. Zarabiałem 30 kop. dziennie i obiecywał nauczyć mnie swojego fachu, ale zostałem wydalony z powodu nieporozumienia o napiwek. Kiedy odniósłszy szkło do mikroskopu jakiemuś profesorowi, powróciłem i na zapytanie majstra, ile dostałem za odniesienie, odpowiedziałem, że nic, kazał mi się wynosić precz mówiąc, że kłamcy trzymać nie chce. Majster ten był nawet dobrym człowiekiem, ale tak bardzo głupim, że nie mógł mnie zrozumieć. Pracując w charakterze chłopca nie byłem już nim, choćby tylko z wieku (miałem już rok 20) i mając już bardzo rozwinięte poczucie godności własnej, jeżelibym może nie odmówił (zależałoby od formy w jakiej by tę zapłatę dawano) przyjęcia zapłaty za drogę, właściwie za odniesienie roboty (czego czasem żądali klienci, mówiąc, że za odniesienie zapłacą) to nie czekałbym na łaskawy „napiwek", a tymbardziej nie upominałbym się o niego.

*

Dzięki znajomości, jakie zawarłem z młodymi robotnikami w czytelni, udało mi się przy ich pomocy uzyskać pracę w fabryce taśm gumowych na Kamionku.

Fabryka ta wówczas zatrudniała około 300 robotników, prawie wyłącznie młodzież obojga płci. Wśród starszych wiekiem robotników było 4—5 majstrów, kilkunastu szpinerów, szwaczy i szwaczek, którzy szyli szelki, pasy gumowe, podwiązki itp. Szpinerzy nastawiali i oglądali maszyny tkające i plotące taśmy najróżnorodniejszych gatunków i rozmiarów. Ja zostałem „szpulownikiem", tj. nawijaczem (nawijałem przy pomocy maszyny jedwabną przędzę z motków na szpulki do maszyn).

Otrzymywałem za to z początku 35 a później 40 kop., a po miesiącu pracy 45 kop. dziennie. Niewiele wyższą płacę otrzymywała większość robotników, bo rzadko kto pracował dłużej jak kilka miesięcy, traktując pracę w tej fabryce, jako zajęcie czasowe, bo nie dające możności wykwalifikowania się. Tylko kilkunastu robotników pracujących po roku i dłużej zarabiało 60—80 kop. dziennie. Wykwalifikowani robotnicy szpinerzy (mogli być szpinerami, zdaje się, tylko ślusarze, bo musieli reperować maszyny) zarabiali 1 rb. 15 kop. do jednego rubla 30 kop. dziennie. Praca trwała od 7 rano do 8 wiecz. z półgodzinną przerwą na śniadanie i 1 i pół godz. przerwą na obiad.

Po kilkutygodniowej pracy wstąpiłem do miejscowej organizacji fabrycznej *), składającej się przeważnie z młodych chłopców, z którymi poznałem się w czytelni. Paru z nich było już członkami partii PPS, więc porozumiałem się z nimi za pomocą kwitów z bloczku za opłacone składki i zaczęliśmy wspólnie przemyśliwać nad urządzeniem strajku dla wywalczenia przynajmniej podwyżki płacy, a o ile by się dało, skrócenia dnia roboczego choćby o 1 godzinę.

Najważniejszą rzeczą była podwyżka płacy, bo dla większości tej młodzieży praca w fabryce w ogóle była zajęciem stałym, a zarobek jedynym środkiem utrzymania własnego, a często całkowitego utrzymania rodziny. Za drobnymi wyjątkami byli oni dziećmi warszawskich i okolicznych robotników. Bezwzględna większość z nas żyła tzw. „suchym", tj. wędliną z chlebem i herbatą, gotowaną strawę jadając tylko w niedzielę i święta. Taki „suchy" obiad, śniadanie, czy kolacja składały się zwykle z pół funta chleba, ćwierć funta jakiejś wędliny i bańki herbaty, co razem kosztowało 25—28 kop. dziennie, czyli przeciętnie dwie trzecie dziennego zarobku. Mający na utrzymaniu rodziny żyli prawie samym chlebem i herbatą. Sprawa podwyższenia płac była dla wszystkich zrozumiałą koniecznością, więc na powodzenie strajku były wszelkie dane. Tym bardziej, że robotnicy wykwalifikowani, otrzymujący poza płacą dzienną specjalne premie od ilości wyrobionych metrów, a więc bardziej „rozważni", stanowili zaledwie dziesiątą część ogółu robotników i gdyby nawet chcieli, nie byli nawet w stanie przeciwdziałać strajkowi, bo pracować sami, albo choćby utrzymać fabrykę w ruchu, nie mogli. Poza tym, jak się dowiedzieliśmy przez znajomego w kantorze, fabryka miała dużo obstalunków, a zapasu towaru nie było.

Czy mieliśmy jaką pomoc z organizacji PPS, nie pamiętam, zdaje się, że odbili nam odezwę na hektografie.

* * *

Strajk zaczął się jakoś w pierwszych dniach grudnia, trwał zdaje się przeszło tydzień i został przez nas wygrany. Uzyskaliśmy podwyżkę płacy mniej więcej o 25%, tak że najniższy zarobek miał wynosić po strajku 40 kop. dziennie i uzyskaliśmy przedłużenie przerwy obiadowej o pół godziny, czyli skrócenie dnia roboczego z 11 godzin na 10 i pół. Robotnicy wykwalifikowani otrzymali również „dobrowolne" podwyżki płac, bo zgodnie z ich życzeniem w ich imieniu żadnych żądań nie wystawialiśmy.

W pertraktacjach strajkowych brał udział, jako urzędowy „obrońca" robotników, inspektor fabryczny, który choć często pijany, zachowywał się dość przyzwoicie. Policja pilnowała fabryki nie wtrącając się do strajku i nie aresztowała nikogo. Na skutek tego strajku dyrekcja fabryki wydaliła bez dwutygodniowego wymówienia kilku robotników, w tej liczbie i mnie, uważając, że umowa najmu została przez nas złamaną i na skutek tego nie mamy prawa do odszkodowania za te dwa tygodnie. Udaliśmy się ze skargą do inspektora, ale ten powiedział, że on nic nam poradzić nie może i radził oddać sprawę do sądu, czyli zbył nas niczym.

Za poradą starych robotników, którzy miewali już różne zatargi i wiedzieli do kogo się udać, poszliśmy do starszego inspektora. Był nim inżynier Iwanow, bardzo rzadki typ rosyjskiego urzędnika, rozumny i dobry, znany i lubiany przez robotników, którzy się do niego zwracali o pomoc *). Kiedyśmy przyszli do jego kancelarii, przyjął nas sam Iwanow, starszy już człowiek z siwą brodą o dobrej i rozumnej twarzy.

Wysłuchał uważnie naszej skargi, obiecał dopomóc, abyśmy otrzymali, co nam się słusznie należy i kazał przyjść za parę dni. Przyszedłszy w oznaczony dzień, zastaliśmy urzędnika z fabryki, który wypłacił nam dwutygodniowy zarobek.

Praca w tej fabryce i udział w strajku nauczyły mnie bardzo wiele. Przede wszystkim przekonałem się, że wśród robotników fabrycznych nie ma przesądów kastowości cechowej, nie ma „panów czeladników" nie ma chłopców, których „uczy się, bijąc", ani „kafrów", którzy w ogóle nie są ludźmi, dalej, że robotnicy fabryczni nawet wykwalifikowani, nie mówiąc o niewykwalifikowanych, wolni są zupełnie od marzeń o zostaniu samodzielnymi przedsiębiorcami, marzeń, których nawet — towarzysze-rzemieślnicy nie wyzbyli się w zupełności do dziś dnia. W fabryce istnieli tylko robotnicy więcej lub mniej wykwalifikowani i lepiej lub gorzej zarabiający, ale zawsze będący, nawet w swoim przekonaniu, tylko żywym dodatkiem do maszyny — kapitału, bez której tracili swoje kwalifikacje i dlatego nie mogli mieć podstaw do marzeń o „samodzielności". Pod względem świadomości klasowej robotnicy fabryczni w masie swojej nie stali niżej od piekarzy, a pod względem zainteresowania życiem poza fabryką, np. zainteresowania książkami — młodzież robotnicza, z jaką się zetknąłem w tej fabryce — stała niewątpliwie wyżej od młodzieży piekarskiej. Byłem razem z nimi na odsłonięciu pomnika Mickiewicza i później długo jeszcze podtrzymywaliśmy stosunki i dostarczałem im już naszej esdeckiej literatury.

Olbrzymek

---

*) Pamiętam, że „Kurier Warszawski" (gdzie jakiś czas pracowałem) sprowadzał z zagranicy maszynę rotacyjną kawałkami przez kilka miesięcy, aby uniknąć bardzo wysokich opłat celnych.

**) Widomym dla wszystkich znakiem tego dobrobytu była nie tylko budowa ogromnych gmachów Politechniki i masy domów mieszkalnych, ale i budowa jednocześnie aż 3 kościołów (na Nowolipkach, na Pradze, i na Marszałkowskiej) i wybudowanie 4 specjalnie luksusowo urządzonych domów publicznych przy ul. Towarowej. Był to jeden ze „słodkich owoców" pracy organicznej.

*) Nie była to organizacja w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, po prostu grupa młodych robotników, którzy się czasami zbierali i czytali wydawnictwa socjalistyczne.

*) Było wówczas w Warszawie dwóch urzędników rosyjskich lubianych, a nawet szanowanych przez robotników, to sędzia pokoju Sawinkow (ojciec znanego zdrajcy i kontrrewolucjonisty) i starszy inspektor fabryczny Iwanow.

Tadeusz Różewicz

NIE KŁADŹ MI RĄK NA SERCU

I

Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
nie kładź mi rąk na sercu

W Gromadzie Ciążeniec
zatłukli na śmierć kijami
Leona Maciejewskiego
komunistę

II

Walili go po głowie
walili go po ustach
po oczach i po sercu

zła krew mówili

potem ręce umyli
plamy z ubrań wytarli
i myśleli że krew zmyli
że tak łatwo zmywa się krew

III

Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
Nie kładź mi rąk na sercu.

KARNAWAŁ 1949 MASKARADA

Leopoldowi Staffowi

Ze szpilą światła w głowie tańczy
tłum serpentyną powiązany
błyskają lśniące ostrza śmiechu
i otwierają rany

Patrzcie jak skaczą
a na twarzach
maski z ustami szerokimi
pilnują mnie
i mego cienia
oczami rozwartymi

Albo przyszyją słówkiem skośnym
serce jak worek
źle związany
tam na dnie słońce się ukryło
między złotymi papugami

I rany są
tych nie ujrzycie
prostym to ludziom zwierzyć mogę
że serce boli tak jak życie
i półzwierzęciem jest półbogiem

Ze szpilą światła w głowie tańczy
tłum serpentyna powiązany
i fruną lśniące płatki śmiechu
i zasypują rany.

Stanisław Golachowski

FORTEPIAN CHOPINA

(Artykuł dyskusyjny)



Fryderyk Chopin

Rys. George Sand

Wchodzimy w okres Roku Chopinowskiego, w czasie którego poprzez liczne koncerty, wydawnictwa, artykuły prasowe każdy będzie miał sposobność ogarnąć całokształt tego niezwykłego zjawiska, jakim w naszej kulturze muzycznej był Chopin. „Zjawiskowość“ Chopina — to temat, któremu wiele już poświęcono uwagi. Istotnie na tle polskiej kultury muzycznej pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, Chopin wydaje się zjawiskiem niczym nie wytłumaczonym, jakimś nieoczekiwanym rozbłyskiem meteoru, tak dalece jego twórczość przerastała to wszystko, co się w tym czasie u nas komponuje. Czy jednak dzieło Chopina rzeczywiście powstaje w jakimś oderwaniu od jego współczesności, gdzieś poza, czy ponad epoką? Może właśnie na wstępie Roku Chopinowskiego warto — przynajmniej szkicowo — rozważyć zagadnienie, o ile jego postawa twórcza była zdeterminowana epoką. A więc co w niej było niezależne od geniuszu, uwarunkowane ówczesną sytuacją, co było podbudową, na której rozwinęło się jego dzieło?

Działalność Chopina przypada na okres radykalnej zmiany sytuacji społecznej muzyków jako grupy zawodowej. W wieku XVIII, w którym system feudalny chyli się powoli do upadku, muzyk, zarówno kompozytor jak wykonawca, mógł istnieć tylko w oparciu o warstwę panującą — arystokrację. Zajmował na dworach arystokratycznych pośrednią pozycję między służbą a podrzędniejszymi urzędnikami i odpowiednio do tego był traktowany. Kompozytor tworzy wyłącznie dla swego pana — nie odczuwa jeszcze potrzeby swobodnego wypowiadania się. Najtrudniejsza jest w tym czasie sytuacja kompozytorów w Rosji, gdzie odmawia im się nawet prawa do umieszczania na utworach swego nazwiska. Znamy szereg anonimowych oper rosyjskich z XVIII wieku, których autorami byli kompozytorzy, stanowiący własność arystokratycznych dworów. Jednak fermenty społeczne, zapowiadające wybuch Rewolucji Francuskiej, ogarniają swym wpływem także i muzyków. Z wybitnych kompozytorów pierwszy Mozart zrzuca z siebie arystokratyczne jarzmo, niemniej płaci za to nędzą i przedwczesną śmiercią. Wysuwająca się stopniowo na czoło warstwa mieszczańska nie dorosła jeszcze do roli muzycznego mecenasa. Ale już Beethoven pozostaje w luźnych związkach z arystokracją. Głosi swe przekonania demokratyczne, walczy o podniesienie prestiżu zawodu muzycznego i o prawo do niczym nieskrępowanej twórczości. Te przemiany, które dokonywają się także na terenie innych zawodów, możemy obserwować również w rodzinie Chopina. Mikołaj Chopin, skromny nauczyciel na dworach ziemiańskich, decyduje się w roku 1810 na samodzielność. Opuszcza dwór hr. Skarbka w Żelazowej Woli, gdzie w oficynie przeznaczonej dla oficjalistów przyszedł właśnie na świat jego syn Fryderyk, obejmuje stanowisko profesora w Liceum Warszawskim ,uzupełniając swoje dochody prowadzeniem bursy dla zamiejscowych uczniów. Kiedy dorastający Fryderyk zdobywa sobie na gruncie warszawskim sławę „najlepszego w mieście fortepianisty“, przyjmowany jest w salonach arystokracji na platformie towarzyskiej. Muzyk nie jest już bowiem materialnie zależny od suwerenów. Istnieją publiczne opery sale koncertowe, instytucje wydawnicze, gdzie rolę mecenasa artystów przejęło mieszczaństwo.

Nowa ta warstwa zajmuje w stosunku do muzyki postawę czynną. Arystokratyczne dwory XVIII wieku trzymają na swojej służbie kompozytorów i zespoły muzyczne dla uprzyjemnienia życia, dla podniesienia własnego splendoru. W nielicznych tylko wypadkach arystokrata sam trudzi się wykonywaniem muzyki. Częstszym zjawiskiem wśród arystokracji jest kompozytor grafoman, który przy wydatnej pomocy swych nadwornych muzyków bawi się w twórcę. Mieszczaństwo samo chce uprawiać muzykę, stąd rozwój szkół muzycznych w tym czasie, a także rozpowszechnienie się zawodu prywatnego nauczyciela muzyki. Kiedy Chopin, po opuszczeniu Warszawy w listopadzie 1830 roku, osiedlił się w Paryżu, utrzymywał się głównie z nauczania gry fortepianowej, później dołączyły się jeszcze dochody z kompozycyj, które — trzeba przyznać — potrafił korzystnie sprzedawać wydawcom. Instytucja „salonu“ miała też wielkie znaczenie dla urabiania opinii o artystach. „Zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej albo austriackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont protegowała...“ — pisał Chopin do Dominika Dziewanowskiego w roku 1832. Obrastająca w dostatki plutokracja paryska nie umiała bowiem wyzbyć się swego „kompleksu niższości“ wobec arystokracji. Stąd też salony mieszczańskie skrzętnie naśladują zarówno urządzeniem jak i zwyczajami salony arystokratyczne, których opinię o wszelkich sprawach, a więc i artystycznych, uważa się za wyrocznię. Ale także arystokracja w nowej kulturze mieszczańskiej ulega zmianom. Zawód wykonawcy muzycznego przestaje przynosić ujmę. Młodzi arystokraci pospołu z młodzieżą mieszczańską marzą o laurach wirtuozów, choć rzadko udaje im się osiągnąć w tym zakresie jakieś wybitniejsze wyniki. Może nawet nie brak wśród nich talentów, zbywa im jednak na wytrwałości i pracowitości, które stanowią nieodzowny warunek osiągnięcia jakiegokolwiek mistrzostwa.

Podstawowym instrumentem mieszczańskiej kultury muzycznej staje się fortepian. Rozwój techniki w XVIII wieku przyniósł ze sobą udoskonalenia także w dziedzinie instrumentów muzycznych. Obok klawesynu i klawikordu, instrumentów o niewielkiej sile głosu i niezdolnych do cieniowań dynamicznych, na czoło zaczyna się wysuwać fortepian młoteczkowy pozbawiony tych braków. Szereg wynalazców ulepsza mechanizm młoteczkowy fortepianu. Instrumentem tym zainteresował się wreszcie angielski przemysł i już w drugiej połowie XVIII wieku produkuje się fortepiany fabrycznie. To z kolei umożliwiło rozpowszechnienie fortepianu, który staje się ozdobą każdego zamożniejszego domu mieszczańskiego. Dopiero koło połowy XIX wieku nad fortepianem odnosi zwycięstwo wygodniejszy, bo mniejszych rozmiarów mebel: pianino. Mieszczanin nie może sobie pozwolić na utrzymywanie orkiestry, stać go natomiast na fortepian, który staje się teraz dowodem zamożności. Oczywiście obok snobizmu, ważnym czynnikiem w popularyzowaniu fortepianu było obejmujące coraz szersze kręgi amatorstwo muzyczne. Młodzież mieszczańska, szczególnie kobiety, uczy się gry fortepianowej i uprawia z zamiłowaniem muzykę. W rezultacie znaczna część życia muzycznego ogniskuje się wokół fortepianu. Wzrasta zapotrzebowanie na literaturę fortepianową, zarówno pedagogiczną, jak artystyczną. Na tym tle zrozumiałym się staje, że Chopin mógł ograniczyć się w całej swojej działalności muzycznej do fortepianu: jako twórca, wykonawca i pedagog. Dodać tu należy, że możliwości artystycznego wypowiadania się za pośrednictwem ulepszonego fortepianu były bardzo obszerne. Fortepian umożliwiał oddawanie wszelkich odcieni nastrojowych, obejmował obfity repertuar środków muzycznych, toteż coraz częstszym zjawiskiem staje się kompozytor - specjalista w zakresie muzyki fortepianowej. Chopin zajmuje wśród nich pierwsze miejsce.

Przemiany w literaturze muzycznej pod wpływem popularyzacji fortepianu i rozwoju muzycznego amatorstwa idą w różnych kierunkach. Na czoło wysuwa się nowa forma **miniatury** fortepianowej: krótkiego, nastrojowego utworu, dostosowanego stopniem trudności do przeciętnych umiejętności amatora muzycznego. Forma ta zainicjowana przez Beethovena w jego trzech zeszytach Bagatel, staje się typowym dla tej epoki utworem salonowym. Kompozytorzy produkują je masowo i jak zawsze w takich wypadkach ,rozrost ilościowy nie zawsze idzie w parze z jakością. Typowym przykładem spłycenia miniatury fortepianowej może być osławiona „Modlitwa dziewicy“ Tekli Bądarzewskiej. Chopin podejmuje ten rodzaj muzyczny w swoich nokturnach, mazurkach, preludiach, ale zarazem podnosi miniaturę fortepianową na najwyższy szczebel artystycznych wartości.

Inną charakterystyczną cechą mieszczańskiej kultury muzycznej jest rozwój wirtuozostwa instrumentalnego i powszechny kult wirtuoza. Zjawisko to pozostaje z jednej strony w związku z rozwojem instrumentów, które umożliwiły grę wirtuozowską, z drugiej jednak — u jego podstaw leżą głębokie przemiany we wzajemnym stosunku twórcy i odbiorcy. W epoce poprzedniej twórca pozostawał jakby w ukryciu poza swym dziełem, teraz ośrodkiem zainteresowania staje się indywidualność kompozytora, którego utwór powinien być wyrazem jego subiektywnych nastrojów czy przeżyć. Ceni się jego „oryginalność“, co pociąga za sobą szybki rozwój środków muzycznych a zarazem podniesienie się stopnia trudności wykonawczych. Kompozytor w niektórych wypadkach sam spełnia jeszcze rolę wykonawcy, ale coraz częściej pojawia się konieczność znalezienia specjalisty, który by podołał technicznym trudnościom kompozycji. W rezultacie między twórcą a odbiorcami staje wykonawca-wirtuoz, który potrafi w pełni realizować koncepcje kompozytora. Ale zarazem zmienia się w tym czasie stosunek odbiorcy do wykonawcy. Odbiorca — mieszczanin często sam zajmuje się amatorską grą na instrumencie, umie więc ocenić wartość



Fortepian Chopina w Muzeum Narodowym

samego wykonania. Stopień jego przeżycia estetycznego zależy już teraz nie tylko od piękna samego utworu, ale także od jakości jego odtworzenia. Na tym podłożu dochodzi do kultu wirtuozów, którzy swoją sławą niejednokrotnie przyćmiewają kompozytorów. Wirtuoz dla zademonstrowania swej biegłości technicznej potrzebuje odpowiedniej literatury popisowej. Szczególnie odpowiadają mu jednak takie utwory, które pozwalają zabłysnąć jego indywidualnym zdobyczom technicznym. Dlatego często sam pisze dla siebie popisowe kompozycje. Powstaje olbrzymia literatura wirtuozowska, której wzorem stają się kompozycje skrzypcowe Paganiniego i fortepianowe Liszta. Chopin obok miniatur salonowych pisze także kompozycje tego typu, które jednak wyróżniają się doskonałą równowagą między treścią muzyczną a wirtuozowskim popisem. Sam będąc wysokiej klasy wirtuozem fortepianowym rozwija niektóre problemy techniczne, głównie w swoich etiudach. Ale także i inne, większe jego kompozycje fortepianowe, wymagają do realizacji wirtuoza.

Wreszcie ostatnie zagadnienie: narodowy charakter muzyki Chopina.

Kultura arystokratyczna jeszcze w XVIII wieku ma charakter kosmopolityczny. Suweren nie czuje się związany z narodem, wśród którego żyje. Często nawet nie zna jega języka. Parantele rodzinne, ale przede wszystkim istotne interesy materialne, łączą go z dworami rozsianymi po całej Europie. Przyjmuje też obyczaje swojej warstwy: mówi po francusku, ubiera się na wzór francuski, nawet swe codzienne życie kształtuje na wzór francuskiego dworu królewskiego. Oczywiście także sztuka powstająca w takim otoczeniu ma raczej charakter międzynarodowy. Rewolucja francuska mobilizuje przeciwko arystokracji cały naród. I choć w wyniku przeobrażeń społecznych na powierzchnię wydostaje się tylko mieszczaństwo, jego kulturę cechują silnie zaznaczone pierwiastki narodowe. Życie artystyczne wchodzi w okres romantyzmu, który wprawdzie w swej nazwie głosił nawrót do kultury chrześcijańsko-rzymskiej, ale szybko stanął na usługi budzących się nacjonalizmów. Romantycy marzą o odtworzeniu narodowej prakultury, której elementów poszukują wśród chłopów. Rozpoczyna się gromadzenie pieśni ludowych, legend, mitów. W Polsce rozpala wyobraźnię młodych romantyków fantastyczna postać Zoriana Dołęgi Chodakowskiego, który w chłopskim przebraniu przebiega wielkie połacie Polski i Rosji, zbiera pieśni, rozkopuje kurhany w poszukiwaniu typowych cech kultury słowiańskiej. Te dyletanckie początkowo przedsięwzięcia zaczynają powoli rozrastać się w naukowe ludoznawstwo. Po Chodakowskim pojawia się u nas Oskar Kolberg, który swym pomnikowym wydawnictwem „Lud“ kładzie szerokie podstawy dla badań polskiej kultury ludowej. Pod wpływem tych nowych dążeń nie tylko poezja, ale także i muzyka zaczyna się interesować elementami ludowymi. Muzyka ludowa staje się coraz częściej tematem artystycznych opracowań. Chopin, pisząc swe mazurki i polonezy, utrafia w gusty epoki. Jednak jego olbrzymie znaczenie dla powstania w Europie tzw. narodowych szkół muzycznych, polega na oryginalnym rozwiązaniu problemu przyswajania muzyce artystycznej elementów narodowych. Odrzuca powszechnie uprawiany w tych czasach proceder wygładzania i „uartystyczniania“ myzyki ludowej, przez który zatracała ona swe cechy typowe, natomiast uczy kompozytorów przekształcania muzyki artystycznej wedle praw muzyki ludowej. Takiej muzyce niepotrzebne są cytaty pieśni ludowych, aby zasłużyła na nazwę narodowej. Kiedy Nowakowski dostarczył Chopinowi w roku 1847 zbiór pieśni ludowych młodego Kolberga, w tradycyjnej harmonizacji na fortepian, kompozytor zżymał się w liście do rodziny: „Często, podobne rzeczy widząc, myślę, że lepiej nic, bo mozół ten tylko skrzywia i trudniejszą robi pracę geniuszowi, który kiedyś tam prawdę odwikła. A aż do czasu owego wszystkie te piękności zostaną z przyprawionymi nosami, różowane, z poobcinanymi nogami albo na szczudłach i pośmiewiskiem będą tym, co lekko na nie spojrzą“. Kolberg, choć zapewne surowa nagana Chopina nie dotarła do niego, wkrótce potrafił już znaleźć właściwe stanowisko wobec folkloru muzycznego, oddzielając swe ambicje kompozytorskie od etnograficznych. Natomiast Chopinowi udało się już w pełni „odwikłać prawdę“, której nauczył następnie Rosjan, Czechów i Norwegów.



Warszawa. Szkoła muzyczna, do której uczęszczał Chopin

Włodzimierz Słobodnik

KU CZCI CHOPINA

Jak Słowianin, gdy brak mu naśladować kogo...

Norwid

Samotna i wysoka gwiazda,
W pieśniarskim niebie zapalona,
On każdym dźwiękiem ciszę nazwał,
Nadając senne jej imiona.

I zbłąkanemu wśród tych imion,
Śpiewanych jak taniec i jak młodość,
Kraj cały wierzbą był olbrzymią,
Schyloną nad letejską wodą.

Gdy Paryż go jak rana bolał,
Jak rana, którą mu zadano,
W klawiszach Żelazowa Wola
Bielała dworkiem nad Sekwaną.

Tu obca rzeka pięknie płynie,
Tam ziemia gorzka i rodzina.
Jak Scyta, w nadsekwańskim Rzymie
On śpiewał pieśni Słowianina.

Dłoń jego szczupła i okrutna,
Drapieżna, mądra dłoń artysty,
Z muzyki, jak z dźwięcznego płótna,
Wyczarowała kraj ojczysty.

Te dymy dźwięków — to chat dymy,
Ten płacz — to wiatr w listowiu płacze,
Ten gniew to w pętach kraj rodzinny,
Ten śpiew — to czerstwa pieśń wieśniaczek.

Słowianin, kiedy było brak mu
W ciemności naśladować kogo,
Przystawał sam na trudnym szlaku,
Ale on poszedł własną drogą.

I chociaż szorstko i surowo
Ostre kamienie go raniły,
On podniósł z' ziemi pieśń ludową
I z żył swych przelał krew w jej żyły.

Wiesław Jażdżyński

Wrocław, Wrocław, Wrocław!

Artykuł poniższy został napisany na podstawie pracy socjograficznej mgr. Ireny Turnau. Irena Turnau przeprowadziła w latach 45—47 badania socjograficzne struktury ludnościowej Wrocławia. Przy pomocy ankiet i wywiadów terenowych przy udziale studentów socjologii odpowiedziała w obrazie statystycznym na trzy ważne pytania: 1) z jakich województw przybyła ludność do Wrocławia, z jakich ośrodków ludnościowych i z jakich klas i grup społecznych? 2) w jakich zawodach rozwarstwiła się we Wrocławiu ta imigracyjna ludność? W jakich rodzajach prac znalazły się z różnych regionów Polski różne klasy i grupy społeczne? 3) Jak przedstawiał się skład ludności we wzajemnym stosunku liczbowym obu płci oraz w grupach wieku?

Praca Ireny Turnau stanowi pożyteczny i bardzo potrzebny wkład w wiedzę o procesie zaludnienia Ziem Odzyskanych, w wiedzę o składzie ludnościowym centralnego miasta tych ziem, w jego historię minioną z ostatnich lat, jeszcze gorącą i żywą w pamięci naszej, a fakt, że została ona uchwycona w stosunkach liczbowych i w naukowym poznaniu klasowego składu i określonej klasowej dynamiki produkcyjnej i społecznej, czyni z niej podstawę do snucia praktycznych wniosków o możliwości przemian gospodarczych i społecznych Polski na dalszą przyszłość.

REDAKCJA

Wrocław w roku 1945. Miasto zniszczone w 67%, jak żadne inne na Ziemiach Odzyskanych. 21.600 domów rozbitych przez działania wojenne, około 700 km ulic zasypanych gruzem, zniszczona sieć komunikacyjna, brak światła i wody. Ani jedna fabryka nie nadająca się do natychmiastowej odbudowy. Czarny, wypalony punkt na „mlekiem i miodem płynących" ziemiach Dolnego Śląska. Na południe od miasta — czarnoziem. Wzdłuż zachodniego brzegu Odry — szeroki pas urodzajnych lessów. Tysiące całych, nowocześnie wyposażonych gospodarstw rolnych — dla chłopów. Lubań, Jelenia Góra, Boguszów, Wałbrzych, Dzierżoniów, Kłodzko, Bystrzyca — wieniec pięknych, niezniszczonych miasteczek, w nich umeblowane wille, sklepy, warsztaty rzemieślnicze — czekające na drobnomieszczan.

Tam też kierowały się fale migrantów z różnych części Polski. **A jednak Wrocław nie został pominięty.** Na początku 1947 roku mieszkało tam już 170.000 ludzi, w rok później prawie 300.000. Co więcej — do końca 1948 roku, przez niespełna trzy lata, odbudowano i oddano do użytku 9.920 budynków, 182.300 izb mieszkalnych, 24.200 izb biurowych, 1.810 sal szkolnych i uniwersyteckich pomieszczeń dla pracowni naukowych i bibliotek.

Dymią kominy 381 odbudowanych zakładów przemysłowych. Państwowa Fabryka Wagonów, słynny Pafawag, ruszyła już we wrześniu 1945 roku, a Dolnośląska Fabryka Śrub — „Archimedes", Fabryka Obrabiarek, Wodomierzy należą do przodujących w Polsce. Pracują fabryki przemysłu konfekcyjnego, włókienniczego i chemicznego.



Robotnicy przy odbudowie Uniwersytetu we Wrocławiu
Fot. B. Kupiec



Na hali w fabryce
Fot. B. Kupiec

Kto „skolonizował" Wrocław i to w **podstawowych — produkcyjnych funkcjach,** kto dokonał niezbędnej dla uruchomienia produkcji odbudowy? **41% bezrolnych i małorolnych chłopów, 41% biedoty z małych miasteczek, 18% mieszczaństwa i inteligencji ze średnich i wielkich miast.** Cała ta masa ludzka napłynęła z rozmaitych części kraju. Z dawnych województw zachodnich i Polski centralnej przybyło 73% ogółu mieszkańców Wrocławia. Najliczniej z woj. poznańskiego — 19,6%, warszawskiego — 10,8%, krakowskiego — 7,6%, rzeszowskiego — 7,1%, łódzkiego — 6,5%, kieleckiego — 6,4% i lubelskiego — 5%. Przesiedleńcy z dawnych województw wschodnich stanowili — 9% ogółu, repatrianci z rozmaitych krajów europejskich i autochtoni — 17,3%.

Gdy się przyjrzeć mieszkańcom Wrocławia ze względu na ich pochodzenie z różnych typów osiedli to obraz migracji z niektórych województw przedstawiał się w roku 1945 następująco:

województwo	ze wsi %	z miasteczek %	z wielkich miast %
Warszawskie	34,2	27,9	37,9
Łódzkie	57,1	28,0	14,9
Kieleckie	54,3	29,1	6,6
Poznańskie	60,3	37,4	2,3
Lubelskie	41,2	41,2	17,6
Krakowskie	49,2	25,0	25,8
Rzeszowskie	42,5	57,5	—
Lwowskie	13,4	12,2	74,4
Wileńskie	12,3	41,4	46,3

Wrocław wypełnił się przede wszystkim ludnością produkcyjną, pracującą w fabrykach i warsztatach rzemieślniczych. Taki był przecież główny cel i sens odbudowy miasta. I zostało to osiągnięte. W przemyśle i rzemiośle pracowało 40,7% mieszkańców Wrocławia, w komunikacji i transportach — 12,8%, służbie publicznej — 24,8%, handlu i ubezpieczeniach — 6,2%, rolnictwie (ogrodnicy) — 4,6%, wolnych zawodach — 10,0%. Bierni zawodowo stanowili — 0,9% (dane mają jedynie orientacyjny charakter).

Trzon ludności pracującej produkcyjnie powstał z migracji chłopskiej (40—80% chłopów pracuje w przemyśle) z biedoty z małych miasteczek (ok. 30% zatrudnionych w przemyśle) i w niewielkiej części z ludności wielkich miast (10% robotników).

Pewna część młodych chłopów, wywieziona w czasie wojny na roboty przymusowe do Niemiec, przeszła kurs pracy przy maszynie. Podstawowa jednak masa migrantów ze środkowej Polski nie znała pracy w fabryce. W minimalnym zakresie przeszli tę zaprawę przy warsztatach rzemieślniczych robotnicy w miasteczkach.

Któż zatem urobił, przygotował do produkcji, wytworzył świeżych robotników? Były to kadry starych, wykwalifikowanych robotników, którzy ściągnęli do Wrocławia ze średnich miast Polski centralnej — ze Skarżyska, Starachowic, Ostrowca, Częstochowy i z wielkich miast — Warszawy, Łodzi, Katowic.

We Wrocławiu mówi się jeszcze i dziś, że doświadczonym kadrom tych robotników zawdzięcza się odbudowę fabryk i przygotowanie chłopów do zawodu robotniczego. I to jest prawda, bo właśnie oni jeździli wraz z inżynierami do Niemiec odbierać nasze maszyny, oni nadali tempo i wprowadzili do współzawodnictwa pracy w fabrycznych halach masy swoich nowych, surowych, niezaprawionych kolegów (60—70%).

Ale dlaczego ta olbrzymia masa bezrolnych i drobnorolnych chłopów i biedoty z miasteczek poszła do wypalonego Wrocławia i jak to się mogło stać, że stanęła na wysokości nowego zadania, że przemieniła się w produkcyjną, zdyscyplinowaną część naszej klasy robotniczej? Że taką się właśnie okazała?

Idąc do zniszczonego Wrocławia wybrała chłopska i miasteczkowa bieda najtrudniejszą początkowo sytuację życiową. Ale wybór oznaczał również świadomość perspektyw rozwojowych. Zdecydowani na przetrwanie ciężkiego okresu, pełnego niewygód i poświęceń okazali, że rozumieją, iż dopiero odbudowanie warsztatów pracy stworzy w niedalekiej przyszłości warunki na dobrobyt. I te warunki osiągali w wytrwałej pracy. Należy również pamiętać, że Wrocław zaludniło przede wszystkim młode pokolenie (od 15 do 29 lat — 50% ogółu mieszkańców, 29—50 lat — 30%, w 1947 roku).

To były kadry młodego pokolenia ze wsi i małych miasteczek, które obalają nadużywaną po wojnie opinię o demoralizacji młodzieży. Młodzi wrocławianie, pracujący ciężko w zburzonym mieście, bez światła, wody, w trudnych warunkach mieszkaniowych, pokazali, że wnosi młode pokolenie również społeczno-moralne siły w nową Polskę.

Wymieniliśmy wartości jakie okazali. Powróćmy do pytania: skąd przyszli i dlaczego tak uderzające jest wśród nich przekonanie, że przejście od chłopa na robotnika fabrycznego w mieście jest prawdziwie historycznym awansem?

Przyszli z okolic zniszczonych wojną — Kielecczyzny, Rzeszowskiego, Krakowskiego, podwarszawskich powiatów i płd. Lubelszczyzny. Nadciągnęli ze zniszczonych i przeludnionych miasteczek. Z Poznańskiego przybyli „parobczaki" z kułackich i folwarcznych gospodarstw, kończąc smutny etap życia, w jakim byli przedmiotem wyzysku. Że byli to ci wszyscy, którzy najkonieczniej musieli emigrować — to jasne. Ale czemu osiedli we Wrocławiu, skoro mogli przecież zalać niezniszczone wsie i miasteczka?

Przypomnijmy sobie przedwojenną wieś rzeszowską. Rok 1936. Gospodarstwa karłowate (do 2 ha) zajmowały 14% obszaru uprawnego, ale gnieździło się na nich 37% całej ludności chłopskiej tego województwa. 83% młodych mężczyzn (18—24 lata) to zbędni*). Jeszcze nawet w gospodarstwach 5—10 ha ponad 60% młodych mężczyzn i 20% kobiet stanowiło nieproduk-



Uniwersytet Wrocławski po odbudowie

*) Dane o przeludnieniu i bezrobociu na wsi pochodzą z książki „Bezrobocie wśród chłopów". Warszawa 1939, Instytut Spraw Społecznych.

cyjną, zbędną ludność. W całej, przedwojennej Polsce Centralnej wystarczał na gospodarkach 1—10 ha jeden młody chłop.

Perspektywy odpływu były prawie żadne. Po roku 1933 skończyły się szanse na emgirację stałą do USA. Pozostawały jedynie sezonowe wędrówki na „sachsy i brandenbury" lub do Prus. Wschodnich — na roboty rolne. Chłopu z Rzeszowskiego lub Krakowskiego udawało się niekiedy ulokować syna w fabrykach powstającego COP. Były to jednak wypadki rzadkie.

„Gdyby tylko było miejsce, na pewno by na tym marnym gospodarstwie nie siedzieli, ale **że nie ma gdzie iść,** więc muszą się wszyscy męczyć razem" — pisał chłop z Rzeszowskiego („Bezrobocie wśród chłopów").

Czekano więc, **aż powstanie w kraju przemysł,** „nie mając za co kupić nafty i soli i nie oglądając nigdy cukru".

W Kieleckiem tradycja pracy przemysłowej wśród chłopów była znacznie żywsza. Świętokrzyski przemysł rozłożony wzdłuż Kamiennej, fabryki w Skarżysku, Wierzbniku, Starachowicach i Ostrowcu, kopalnie rud miedzianych uprzemysłowiony Radom i Częstochowa podniecały wyobraźnię tysięcy niepotrzebnych na wsiach młodych mężczyzn wizją zarobku. Bo dysproporcja między dochodem z pracy dziennej w gospodarstwie chłopskim i fabryce była wyraźna. Dochód dzienny gospodarstwa 2—3 ha wynosił (1936 r.) — 1,12 zł, 3—5 ha — 1,53 zł. Natomiast w przemyśle wielkim i średnim można było zarobić dziennie — 5.92 zł, przetwórczym 5.28 zł, mineralnym 3,60 zł, drzewnym 3,04 zł, a więc znacznie więcej niż nawet w średnich gospodarstwach chłopskich. Świadomość tego faktu musiała istnieć wśród kieleckich chłopów. Podobnie w uprzemysłowionym — łódzkim i podwarszawskich powiatach. I musiał kiełkować **pozytywny mit pracy przemysłowej.** Wizja przemysłowej Polski leżała ukryta głęboko w marzeniach milionów chłopów z przeludnionych wsi, skoro teraz ściągnęła do Wrocławia i chłopów z Lubelskiego. Ale przemysłu przed wojną nie było, więc tłoczyli się na przeludnionych parcelkach. ...„na tułaczkę nie można ich wygnać, bo pracy i tak nie znalezą" — tak oceniał w 1936 r. sytuację na rynku pracy chłop z centralnej Polski.

W dziesięć lat później oceniał rzeszowski chłop zupełnie inaczej swoją sytuację.

„Mam dwóch dorosłych synów, oni mi są w mojej małej gospodarce niepotrzebni. Piszecie tyle w swoim tygodniku, że się rozwija przemysł, napiszcie do ministra przemysłu, żeby zabrał mi moich synów i ulokował gdzieś na fabryce". („Nasza gospodarka na Ziemiach Odzyskanych", „Książka" — 1946).

Zabrał ich przemysł Wrocławia, zatrudniający w niektórych fabrykach do 80% robotników chłopskiego pochodzenia.

Wiara, że prawdziwym miejscem awansu dla chłopskiego, częściowo i miasteczkowego proletariatu jest fabryka, realizuje się dziś w praktyce.

We Wrocławiu, mieście jeszcze kilka lat temu wypalonym i martwym, poprzez pełną poświęcenia pracę robotników, ustaliły się ostatecznie trzy grupy społeczne.

1. Najmniej liczna (1,2% ogółu mieszkańców) inteligencja, pochodząca przeważnie z dużych miast, przede wszystkim Lwowa i Wilna. Są to nauczyciele gimnazjalni, profesorowie i pracownicy naukowi przy wyższych uczelniach oraz przedstawiciele tzw. wolnych zawodów.

2) Druga grupa pochodzi głównie ze średnich miast. Funkcjonariusze służby publicznej, urzędnicy w administracji samorządowej, właściciele sklepów, drobnych przedsiębiorstw usługowych uprawiający prywatną inicjatywę. Należy do nich włączyć pewien procent drobnomieszczan z Poznańskiego i miasteczek zabużańskich, którzy trudnią się drobnym handlem i prowadzą drobne warsztaty rzemieślnicze, często małe sklepiki.

3) Grupa najliczniejsza — drobnorolni i bezrolni chłopi, oraz biedota z małych miasteczek środkowej Polski. Teraz młoda i prężna klasa robotnicza dojrzewająca zawodowo i politycznie pod okiem przodowników robotniczych, którzy napłynęli ze średnich i wielkich miast środkowej Polski. Ci, którzy w przeludnionych wsiach i miasteczkach snuli przed wojną w marzeniach wizję przemysłowej Polski i awansu do fabryki.

Wiesław Jaźdżyński

Józef Pogan

KRONIKA NEKROLOGÓW*)

Swego czasu scharakteryzowałem materialne położenie jednej z podkrakowskich wsi. Ale ciężkie to, we wszelkim upodleniu i nędzy, po prostu zwierzęce bytowanie biedniejszych wieśniaków, wcale nie na tej nędzy się kończyło... nie na tym lepieniu glinianek, nie na tym wyporządzaniu chlewików na mieszkania, nie na ciągłej gonitwie za groszem i kawałkiem chleba... Koszmaru życiowego dopełniały choroby, utrata na stałe zdrowia, lub wreszcie nieubłagana, przedwczesna śmierć. A w ślad za tym: załamanie psychiczne dotkniętych rodzin, miażdżenie do reszty ich chudob, że tylko głos do Boga jako do „karzącej ręki sprawiedliwości" pozostawał Ludzie rozpaczali, a sprzysięgły przeciw biedocie los robił swoje i w przeciągu paru tylko lat pokaźną liczbę ofiar na swym indeksie notował.

*

Czterdziestopięcioletni wyrobnik u bogaczy, Franek Kowalski przez parę lat postękiwał, że nawet kozę nie zawsze potrafił popaść. Żona opiekowała się nim jak mogła: i wszystko mleko od kozy pod nos mu podtykała, czasem nawet jajko, choć z żalem o stratę, ugotowała. Ale daremne były zabiegi — zniszczone zdrowie nie urzymało w sobie duszy.

Owdowiała kobieta grzebała się sama na morgowej kiszeczce i w płaczu powtarzała: — „Niescesno bieda i stajania bogoców zjadły mi chłopa"!

Kowalski skonał z otwartymi oczami, wnet pojął za sobą trzynastoletnią córkę, A no, nakazał ksiądz proboszcz odprawianie „dziewięciu piątków", więc kobiecina posyłała na nie córkę. Na nieszczęście popadło to zimą, to też dziewczynka na lato była już gotowa do trumny. Nic dziwnego — dziecko było blade, chuderlawe, może nawet już schorzałe, więc się szybko dotrąciło na zimnej posadzce w kościele.

*

Czterdziestoletnia Róża, żona Staszka Czapli, przeszło rok dogorywała na brudnym barłogu w kącie pustej glinianki. Nikt się chorą nie opiekował, bo też i nie miał kto. Staszek od biedy i różnych zmartwień łaził jak „zabity" i upychał w gospodarstwie co mógł; zaś dzieci już to roiły się płaczliwie po izbie. już to (te większe) pichciły bezustannie jałowe ziemniaki, kwaśny żur czy na odmianę — wodziankę. Matkę też tym karmiły, chyba, że ktoś z litości podał jej garnuszek mleka czy maślanki. A gdy umarła — Staszek z trudem postarał się o cztery deski, o szkapę na cmentarz i o parę złotych dla grabarza...

Wnet po śmierci Róży choroba podcięła i Staszka. I tak samo w gorączce „krzepił" się żurem, wodzianką czy garnuszkiem maślanki od litościwych sąsiadów. I ziewnął wreszcie wśród tych wilgotnych ścian glinianki, której w czasie schorzałego życia nie dokończył lepić.

Po śmierci rodziców dwoje większych dzieci poszło do służby, zaś mniejsze wziął do siebie stryj, który też tak samo jak i brat kwasił biedę.

*

Wawrzek Mirek upychał od biedy małymi dziećmi. On sam kręcił powrozianki, zaś dzieci goniły za borówkami, za grzybami, dźwigały oćpy chrustu z lasu, brzemiona liści, a nawet wodę pod kilometrowy pagórek. A które podrosło, zaraz odchodziło do służby, zaś młodsze je zastępowało.

Dwie z córek Mirkowych bardziej odczuły dziecinną niedolę: jednej jakiś ból skurczył nogę w kolanie, że z trudem łazi, druga w rok po ślubie umarła na gruźlicę.

*

Czterdziestoletni, grzebliwy Kuba Szostek ziewał od paru lat. Dyszał, ale jeszcze nadrabiał gdzie mógł: to we dworze, to u gospodarzy, to znów owoc jesienią kupował i do miasta w koszyku nosił. Noc go z domu wyganiała, noc przyganiała, by utrzymać życie, którego półtora morga ziemi nie zapewniało. Cóż, kiedy nie długo to życie utrzymał. Zaledwie przeżył wojnę i doczekał się Wolności, dla której tyle gazet przeczytał... dla której ostatnie grosze na naftę w długie zimowe wieczory wydawał, zapraszając sąsiadów na pogwarki o wojnie. I nie nacieszył się z doczekanej Wolności, bo już w miesiąc po wypędzeniu Niemców wyzionął ducha.

*

Pracowita szczebiotka, Mańka Mirczanka od ośmiu lat życia piastowała na służbie dzieci. Wypiastowała ich kilkoro w różnych domach. A gdy odlazła od ziemi, znów cudze krowy pasała, nosiła wodę, prała, odbierała za kosiarzami, młóciła... Dość pojadła gorzkiego, służebnego chleba, dość się napłakała, że nawet nie pamięta kiedy i o co. Wydała się wreszcie, bo miała po rodzicach kawałek pola.

Po ślubie, Mańce wcale nie rozjaśnił się żywot, a nawet się pogorszył. Bo oprócz biedy — jakaś choroba osiadła jej na wnątrzu. Męczy ją, ale jakoś nie może zadławić na śmierć, która zapewne byłaby milszą, niż żywot. Bo cóż to za żywot, gdy z wyzierającą z gardła duszą — trzeba patrzeć załzawionymi oczami na chuderlawe maleństwa, które co rok jak na złość się rodzą. Na piastowaniu dzieci i płaczu upłynęło Mańce dzieciństwo, piastowaniem i płaczem kończy się trzydziestoletnia „starość".

*

Jasiek Brandys już od dziecka nabawił się zapalenia stawów i reumatyzmu. Gdy go chwytał większy ból, rodzice kąpali go w dębowej korze, lub pokrzywami parzyli. A gdy pofolgowało — wtedy z krową na pastwisko. I tak trwało parę lat. Nareszcie Jaśka złożyło na łóżku. Leżał jak Łazarz przez rok, drugi, trzeci i jęczał w boleściach. Teraz znów łazi ze sztywną w kolanie nogą i jak stary dziadzio — laską się podpiera.

*

Osiemnastoletnia Zośka Godeniowa cieszyła się zamążpójściem. Miała narzeczonego, służącego w folwarku. W sam raz dla niej, bo ona znów zarabiała we dworze u Szczeniowskiej w sąsiedniej wsi. Oboje cieszyli się przyszłym pobraniem i tym uplanowanym już fornalskim życiem. Zośka z zapałem pracowała, nie opuściła żadnej dniówki, suchego klepaczka na obiad zjadła, by oszczędzać na nowe poszwy do pościeli, na obraz Matki Boskiej na ścianę, na jaki garnek do kuchni, bo rodzice na dwu morgach nic prawie dla niej na wiano nie mieli. Niestety, głód i ziąb od dzieciństwa, a później paroletnia praca we dworze zemściły się na Zośce — nie pozwoliły jej doczekać wymarzonego małżeństwa. Legła w łóżku i przeleżała pół roku. A potem wywieźli ją na cmentarz. A no jak nie dwór — to cmentarz.

*

Zięć Szczepana Mitki, Jasiek Paczyński przez jakiś czas w wyporządzonym chlewiku wypluwał z płuc czterdziestopięcioletnią duszę. Mocniej mu się trzymała zimą w tym chlewiku, gdy handlował bakonem (surowym tytoniem), słabiej zaś na łąkach i polach magnata Skrzyńskiego i Szczeniowskiej. Tam za każdym przysieczonym pokosem dusza coraz bardziej wyzierała z gardła. I nareszcie wylazła na amen. Nie dziwota — dość się napokutowała w tym od dziecińswa umęczonym ciele.

*

Pietrek Sroka zaledwie się ożenił, już zabierał się do budowania nowego domu, bo stara kucka coraz bardziej okapem przycapiała do ziemi. Chłopina kaszlał, ale sprowadzał po trochu drzewo z lasu. Tak po dziesięć sztuk rocznie. Tyle, ile podołał. Namęczył się, bo i zwózkę drzewa i wszelką konną robociznę w polu musiał zawsze odrabiać: po pięć dni od jednego konia, po siedem, a czasem i po osiem od pary. Toteż coraz bardziej kaszlał — w piersi odzywało mu się jak w starym stłuczonym garnku. I budowa domu spaliła się na panewce, a raczej na licytacji, gdy to za zaległe podatki egzekutor zasekwestrował uszperane drzewo. Zabrał sekwestrator drzewo, a niebawem Pan Bóg Srokę.

Z walącej się kucki zamiast przeciągłego, dławiącego pierś kaszlu — odzywał się od czasu do czasu jękliwy płacz pozostałej wdowy.

*

Na Władkę Nowarową tak dziewczyny jak i chłopcy źli byli po trochu. Bo też i ona była zła i zgryźliwa. Ale za to pracowita do upadłego. Hyża była jak sarna, więc wszędzie była pierwsza. Pierwsza przed wschodem słońca las za grzybami oblatała, pierwsza gałęzie przy dworskim lesie wypatrzyła, pierwsza z rówieśnicami zaczęła narabiać we dworze w sąsiedniej wsi. O, tam się nagoniła przez parę lat! Toteż jej się „powodziło" lepiej od innych: do osiemnastu lat już miała poduszkę, pierzynę, no i cielątko na wiano też sobie kupiła. „Dorabiała się", bo chciała się wydać. Ino chłopaki jakoś nie garnęli się do niej — garnęła się natomiast niepostrzeżenie mściwa kostucha. I ułapiła ją wreszcie, powaliła na łóżko i tłamsiła. Przybył wprawdzie lekarz, ale o wiele było za późno — zastarzała choroba już od dwu lat zgryzła to ciało.

Matce, biednej staruszce, pozostał płacz i lament. No i ta uciułana pościel i cielątko.

*

Jędrek Żurek ożenił się z kulawą Zośką u Mirka. Nie z miłości zapewne, tylko dla zachyliska. Bo Zośka miała po matce kiszeczkę pola i pół, jak kojec, starej chatki, a on nic. Żyli jakoś. Jędrek umiał karpać buty ,więc na sól, na dokupienie ćwierci żyta i ziemniaków, czy na tandetną szmatę na grzbiet zatłukł młotkiem przy warsztacie. I w polu też robił — szanował kulawą żonę, to sobą nadganiał wszędzie. Ale nie pociągnął długo. Wyponiewierany po służbach — pśniał po trochu jak to zemszycałe drzewo. Przeżyła go kulawa żona, choć jej sąsiedzi pierw śmierć przepowiadali.

Cóż, że Bóg poszczęścił, że się biedna Zośka wydała, kiedy wszystko na psy się obróciło. Tyle ma z tego małżeństwa ,co dwu ładnych chłopczyków i kupę nędzy z płaczem.

*

Józkę Kanarkową już w młodości chwyciła żółtaczka. Od czego? — któż to mógł wiedzieć, kiedy i sami rodzice niewiele się nad tym zastanawiali. Bo przecież Józka nie chorowała wcale, no taka „nielusa" łaziła. Łaziła tak długo, może do dwudziestu pięciu lat. Nareszcie uchciwił się na nią chłopak, bo miała mórg pola i mórg lasu.

Po ślubie nie żyli dobrze, tak jak pies z kotem. Jasiek łaził z kosą i cepem do bogaczy czy do dworów, a Józka męczyła się w biedzie z niewydarzonym dzieckiem. I w końcu zlitował się nad nią Bóg i zabrał ją na tamten świat. Tylko to niewydarzone dziecko ojcu na pamiątkę pozostawił.

*

Garbatemu Leśniakowi Pietrkowi przypadał po matce szerokawy zagon pola, tak może na jakie siedem, osiem skib. Jużci nie obsiewał tego, ino odstąpił siostrze za sto złotych na raty. Obrzydła mu już długoletnia od dziecka służba, więc zatęsknił do „domowego ogniska" i ożenił się z starą Hanką Papizczyną. Dobrali się, bo i ona też była garbata. Nawet bardziej od niego. Ale za to była o wiele bogatsza: miała równiutką jak stół morgę. Cielątko i poduszki też, bo może z dziesięć lat bezustannie po dworach wyrabiała.

Po ślubie przez parę lat mieszkali u jej brata w komórce. Harowali, zabiegali z całych sił, nie dojedli, nie dospali, nie ubrali się, tylko na budowę chatki każdy grosz oszczędzali. I piękną, choć maleńką jak kojec chatkę wybudowali. Ale to nie wystarczyło — wnet Hanka musiała pomyśleć o innej chatce dla zagnębionego nędzą męża O tej chatce z czterech desek pod brzózką i krzyżykiem.

*

Piękna Zośka Krokoszczyna już w rok po ślubie zaczęła ziewać i pśnieć. Na razie mąż miał se to niczym. Ale później zląkł się i zaprowadził Zośkę do lekarza. Lekarz orzekł: — „zastarzałe suchoty".

Matka jęła lamentować wniebogłosy i leczyć córkę: i miodu kwaterkę jej kupiła i psiego sadła, nawet pono w psią skórę ją obwijała. Ale daremnie — nijak nie utrzymała młodej duszyczki w schorzałym ciele.

*

Ludwikowi Czapli wierzyciele nie dawali spokoju, aż mu drzwi do izby chcieli ochwierutać. Zadłużył się bardzo: tu sto złotych, tam dwieście, gdzie indziej pięćset i więcej. Wybudował za to chatę, ale z długu nijak nie potrafił się wywikłać. A lichwiarze uwzięli się i podawali do sądu o zwrot należności. Uwziął sę też i sekwestrator i licytował co się dało: to krowę, to prosiątko, to sieczkarnię, to zboże, nawet kury i króliki. Robił czystkę, że hej! Ludwik musiał sprzedać mórg najlepszej ziemi zaraz za stodołą. Odepchnął pilniejsze długi, a na resztę wystawił nowe weksle. I „w kółko Macieju" z tymi długami. A praca, zmartwienie, głód, ziąb, żarły Ludwikowi organizm niby ta rdza zanieczyszczone żelazo.

Stało się nareszcie — śmierć wyzwoliła Ludwika od napastowania wierzycieli. Może słodką mu była, chociaż gorzką dla pozostałej wdowy i kilku małych sierót.

*

O Szczepanie Mitce sąsiedzi powiadali:, że „trwardszy od krzemienia". Bo choć się tyle zawsze namęczył co inni wyrobnicy ,tyle co inni — podjadł kwaśnych płonek, tak samo znosił głód, zimno, jednak wyglądał czerstwo i zdrowo i na „gębie był zawsze czerwony". Dziw przecie, że się tak trzymał. Ale... ale źle ludzie wróżyli — Szczepan był „miększy od krzemienia". Choroba i śmierć dały mu radę, choć trochę późno, bo prawie po pięćdziesiątce. Wyciągnął nogi w sam raz wtedy, kiedy i chałupina się zawaliła. Długo się „wlekło", ale nie uciekło" — jak to jest przymówka.

*

Pobożny Kanarek zawsze chodził do odległego o siedem kilometrów kościoła. I dzieci też czy to latem, czy zimą wysyłał. A no, „trza się modlić, trza Bogu służyć, aby być zbawionym. Na ciało nie trza zwożać, a nawet go umartwiać na chwałę Bogu". Toteż może na tę „chwałę" dziesięcioletnią Elżbietkę chwyciło zapalenie stawów. Z początku lekko, potem coraz gorzej i gorzej, aż doszło do tego, że i lekarz nic nie pomógł. Elżbietce skurczyło i skrzywiło nogę w kolanie, że dotychczas kuleje i kulać już będzie do śmierci — „na chwałę Bogu".

*

U Kuby Juraszewskiego jak wszędzie u biedaków — zawsze bywała bieda. Niby było tam z pięć morgów ziemi, ale dzieci jeszcze więcej. I do tego stary Kuba był kulawy, więc w każdej robocie trza było upychać małymi dziećmi. Mimo to troje nawet dość wyrosły, inne słabiej, zaś dwoje chwyciła nieuleczalna choroba. Józek zmarł w siedemnastu latach, Stefka w rok po wyjściu za mąż. Może to nic złego — pozostałym dostało się po szerszej kiszeczce ziemi.

*

Michał Gzyl, syn bogacza, ożenił się z biedną dziewczyną. Z miłości właśnie. Rodzice, choć niechętnie, ale zgodzili się na to, bo niedołężnego Michała lepsza dziewczyna nie chciała.

Teściowie upychali Hanką ile się tylko dało. „Hanką zawrzeć, Hanką otworzyć, Hankę na zimno, Hankę na deszcz, Hankę do najgorszej roboty". Nie rozmyślnie, dla zamęczenia, tylko, ot tak, z zwykłej niechęci do dziadowskiego rodu. „Wlazła na gospodarstwo z próżnymi rękami, z gołym tyłkiem, chce być gospodynią, to niech pierw choć nieco odrobi za to gospodarstwo".

Męczyła się Hanka od dwudziestu może do trzydziestu pięciu lat u teściów, że jej już na swoim sił i zdrowia na dalej nie starczyło. Umarła wnet po czterdziestce. Odczuła na własnej skórze, że biedakowi nie tylko jako służącemu u bogacza, ale nawet jako członkowi jego rodziny — zawsze gorzko.

*) Patrz poprzedni pamiętnik w N-rze 47 „Wsi" pt.: „Wieś w ostatnich latach przed wojną".

DYSKUSJA

W KLUBIE NA PROWINCJI

Zamieszczona poniżej dyskusja o Matejce stanowi swojego rodzaju DOKUMENT. Dyskusja ta odbyła się rzeczywiście w jednym z wojewódzkich miast w klubie miłośników sztuki. Daje ona pewne wyobrażenie o kulturze i wiedzy inteligencji prowincjonalnej. Podajemy ją jako dowodowy materiał socjograficzny.

REDAKCJA

HISTORYK SZTUKI

Mówiąc o patriotyzmie Matejki można sprawę ująć z dwóch punktów widzenia. Pierwszy — to Matejko jako **Polak, patriota, człowiek**, i drugi — oddziaływanie twórczości Matejki na otoczenie, a więc ujęcie zagadnienia w sensie społecznym. Wydaje mi się, że oba te ujęcia są ściśle ze sobą związane. Inną jeszcze sprawą jest zamierzenie malarskie, cel, dla jakiego autor pracuje i skutki, jaki wywiera jego dzieło na widzów, społeczeństwo, w pewnych konkretnych okresach historycznych. Tu należy również uwzględnić stanowisko krytyki, która w odniesieniu do Matejki nie wywierała na niego żadnego wpływu. Bo Matejko był **samotnikiem**, który nie poddawał się głosom z zewnątrz, obawiając się jakiejkolwiek zależności i wpływów.

Że Matejko był przede wszystkim Polakiem, patriotą, niech służy za dowód jego życie, jego piecza nad zabytkami, jego troska o rozwój kultury, jego stanowisko zajmowane w wielu okolicznościach życia kulturalnego w dobie ówczesnej w Krakowie, jego stanowisko jako dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Przecież to on ufundował pierwszy stypendium dla studenta, który kształciłby się w komponowaniu witraży, aby kościołów nie ozdabiać niemieckimi witrażami. Wystąpił przeciw władzom kościelnym i konserwatorskim nawet w prasie, gdy wynikła sprawa usunięcia głównego ołtarza na Wawelu, kiedy chodziło o polskiego orła na Bramie Floriańskiej, wystąpił przeciw miastu, kiedy zapadła uchwała o zburzeniu gmachu Św. Ducha. Jego zatargi z komitetami, np. restauracji kościoła Panny Marii, budowy pomnika Mickiewicza, czy odnowienia Wawelu, są wszystkim znane i nie będę ich tu omawiać. Wspominam je, ażeby przypomnieć o Matejce, właśnie jako **patriocie**.

Ten niezłomny patriotyzm znalazł odzwierciedlenie i swój właściwy wyraz w jego twórczości, na którą składa się około 100 skończonych obrazów olejnych, 90 portretów, nie licząc rysunków i szkiców idących w tysiące. Twórczość jego ma charakter dydaktyczny, bo mówiąc słowami St. Tarnowskiego „On postanawia **obrazami swoimi karcić, uczyć, poprawiać**, a myślał, że przez obrazy dokonać tego można“. Mając swój plan i program, Matejko realizował go, oczywiście z pewnymi zmianami, według okoliczności, wpływów i wewnętrznych uczuciowych impulsów — realizował w szerokich ramach od dydaktyzmu, przez wskrzeszanie świetności Polski, tej dobrej i tej złej, przez **rozbijanie legend**, jakie wytworzyły się wokół przeszłości, przez aktualizowanie „kwestii polskiej“ na terenie własnego kraju jak i Europy, czego przykładem może być wystawianie obrazów Skargi, Rejtana w Paryżu, Batorego — w Wiedniu i Pradze, Hołdu Pruskiego **— w Paryżu i Berlinie,** ofiarowanie Sobieskiego pod Wiedniem papieżowi itd. To wydaje mi się owa najwłaściwiej określona historiozofia matejkowska i jej podstawy. Bo mieszczą się tutaj dzieje kultury i cywilizacji, i sceny rodzajowe, historyczne, Skarga i Kościuszko, Rejtan i Polonia. Matejko rozumiał swoją funkcję społeczną jako pracę artysty **dla dobra narodu.** I funkcję tę wypełnił najsumienniej w latach 1863—83. Po tym okresie Matejko rozprasza się w pracach społecznych, religijnych, naukowych, nawet politycznych, zwraca się swoimi zainteresowaniami ku dekoracjom, widać w jego obrazach z tego czasu zanik ekspresji. I właściwie nie powstaje już żadne poważne dzieło.

ARTYSTA MALARZ 1.

W artykule Strzemińskiego *) jest dosyć duża doza niekonsekwencji. W myśl tez Plechanowa nie do każdego zjawiska kulturalnego można stosować podbudowę ekonomiczną. I w wypadku Matejki nie można tej podbudowy stosować tak silnie i jaskrawo jak to zrobił Piotr Chmura. Rozwój imperializmu zachodniej Europy nie mógł działać na Matejkę, bo Matejko był zbyt daleko od roztrząsań natury politycznej, będąc z charakteru typem zamkniętym w sobie i nie interesującym się bieżącymi wypadkami natury ekonomicznej czy socjologicznej. Natomiast mogły mieć wpływ na Matejkę, na jego osobowość i twórczość te wypadki i zjawiska, które zachodziły w Austrii. Jak zagranica działa na Matejkę, dowiadujemy się z jego listu pisanego z Wiednia 27 maja 1860 roku do przyjaciela St. Giebułtowskiego: „Dziwne skamienienie czuję w sobie, nic mnie nie zajmuje, ja zawsze tylko nad Wisłą, nie ma godziny bym tam nie był“. Przecież Matejko był czterokrotnie w Paryżu w latach 1865—1880, jednak nic stamtąd nie przywiózł. Nie widział albo może raczej nie chciał widzieć zmian zachodzących w malarstwie, w sztuce, bo się bał wpływu na swoją twórczość, bał się nawet cienia podejrzenia o naśladownictwo. Czytanie zaś dzieł historycznych, zagłębianie się w studiach przeszłości zacieśniało bardzo jego horyzont, ograniczając rozwój wiedzy.

Niewątpliwie istniały duże zależności między historiozofią Matejki a szkołą krytyków krakowskich. W czasach Witkiewicza jego krytyka malarstwa Matejki miała swój sens i swój walor, jednak dziś jest ona nieaktualna. Piotr Chmura zbyt dużo pisząc o całej Europie, czy nawet świecie, zaciemnił fachowe uwagi Strzemińskiego.

Mocno naciągniętym punktem wydaje mi się sięganie aż po Veroneza i Tintoretta i usiłowanie imputowania seicenta Matejce i jego czasom. Jest to uproszczenie i uogólnienie szkodliwe, ponieważ wprowadza w poszukiwaniach właściwego obrazu twórczości Matejki zagmatwanie, które może szkodzić przede wszystkim czytelnikowi nieobeznanemu z zagadnieniem.

Matejko, wydaje mi się, świadomie nawiązuje do **baroku**, o czym świadczą koncepcje kolorystyczne, dynamika form, częste przerysowania, ale to wcale nie świadczy o tym, żeby Matejko zajmował się wyłącznie epoką Jagiellońską i niewiele późniejszą, tak co do formy, jak i co do treści.

Słuszne jest stanowisko autorów artykułu we „Wsi“, że patriotyzm Matejki był patriotyzmem mocarstwowości, potęgi, szlacheckości. Tę potęgę podkreśla jeszcze silniej technika malarska, zheroizowane postacie, patos figur, powaga zamalowanego obrazu.

*) Patrz artykuł Wł. Strzemińskiego i P. Chmury pt. „Patriotyzm Matejki“, „Wieś“ nr 1—2/49.

ARTYSTA MALARZ 2.

Matejko życie swoje ofiarował bezinteresownie miastu, społeczeństwu, narodowi. W owym czasie nic się w Krakowie bez Matejki nie obywało. Był malarzem i historykiem. Niewątpliwie socjologią i ekonomią się nie zajmował. Naciągniętą rzeczą przez „Wieś“ jest to, że imputuje się Matejce rzeczy o znaczeniu ogólnoludzkim jak rozwój kapitalizmu czy imperializmu. Wypadki takie, jak i zagadnienia, nie dochodziły do świadomości mężów stanu Galicji. I tym nie zajmował się też Matejko. Nędza galicyjska, ta przysłowiowa nędza, była zbyt wielka, i walka o prawa polityczne Polaków, o rozwój przemysłu, o płace robotnicze, była zbyt silna, aby do Galicji mogły dotrzeć zagadnienia ogólnoeuropejskie. Polityka w Galicji szła po roli ugodowej, nienarażania się rządowi cesarskiemu. Z drugiej strony dążono do harmonii w narodzie, do „podtrzymania ducha“. Stąd historycyzm, stąd twórczość Matejki, który poszedł po linii przełamania ugodowości. Tendencji tu nie ma. Z jednakowym pietyzmem maluje Kościuszkę pod Racławicami co i Batorego pod Pskowem, czy Warneńczyka pod Warną. W jego dziełach nie widać historycznej analizy. Pracę jego można nazwać pracą **przyczynkarską.** Matejko świadomie nie malował historycznych ilustracji, a tworzył kompozycje oparte na historiozoficznych myślach. Zresztą sam się wyraził przy jakiejś okazji, gdy mu ktoś zwrócił uwagę, że niektóre postacie jego obrazu nie mogłyby się razem spotkać: — „ja maluję epokę, a zapiski kronikarzy i historyków to nie ewangelia“.

Jeśli zaś chodzi o malarstwo, Matejko żył w czasach historyzmu. Malarstwo XIX wieku ujmowało rzeczywistość jak się wie, a nie jak się widzi, weszło w fakturalne kanony. Szkoły uczyły tego, jak malować dzień, człowieka, przyrodę. Matejko wyrzucił ze swej techniki te dawne kanony, a zaczął wprowadzać w malowaniu — zwłaszcza ciała ludzkiego — zimne refleksy. Malował więc tak, jak widział. Raszka Jan, czołowy przedstawiciel impresjonizmu polskiego, uważał Matejkę za prekursora impresjonizmu. Do tego zdania również i ja się przychylam, pomimo, że sam Matejko bardzo niechętnie odnosił się do malarskich nowatorstw, czego dał dowód w czasie ostatniej swojej bytności w Paryżu.

Obrazy Matejki **są niemalarskie,** brak im zwartej kompozycji, ale mają one niewątpliwą wartość historyczną, a więc i społeczną. Obrazy te oglądały wszystkie warstwy społeczne Krakowa. Oczywiście wartość dzieł Matejki będzie inna dla Europejczyka w ogóle i znacznie inna dla Polaka.

MUZYK

— Uważam, że Matejko wcale nie jest artystą. Ponieważ nie malował w myśl hasła „sztuka dla sztuki“, należy traktować jego malarstwo jako malarstwo posiadające cel, malarstwo zamówienia społecznego. Celem tym dla artysty było podkreślenie wielkiej przeszłości narodu. W pracach swoich jest nieścisły historycznie, oparty na fantazji. Dla mnie Matejko jest takim malarzem jak Sienkiewicz pisarzem. Moim zdaniem Matejko był większym patriotą niż malarzem. I dziś narzucanie społeczeństwu historycznej wizji przeszłości widzianej oczami Matejki jest ujemne. Bo jest mylne, nieprawdziwe.

LITERAT

— Dzisiaj po przeszło pół wieku od śmierci Matejki łatwo nam jest twierdzić, podmalowując tło socjalne i zestawiając pewne fakty, że twórczość Matejki zamknięta w jego obrazach, szkicach, jest znacznie opóźniona w stosunku do kierunków malarskich zachodu, a więc malarstwa francuskiego, niemieckiego i nawet włoskiego. Bo przecież wtedy, kiedy Matejko operował techniką i treścią związaną z Delarochem, Delacroix, już we Francji pracują czystej wody impresjoniści, a więc Manet, Gauguin, Monet, Degas, Cezanne. Jak wiemy Matejko do tego nowatorstwa ustosunkował się nieprzychylnie.

Przechodząc do zagadnienia zależności twórcy od społeczeństwa, należy stwierdzić, że Matejkę jako artystę i jako człowieka kształtowało społeczeństwo, a dopiero znacznie później, bo prawie w 25 lat po jego śmierci, Matejko zaczął kształtować wyobraźnię historyczną i to przede wszystkim młodzieży. Ale spuścizna artystyczna po to była wyciągnięta z zapomnienia, ażeby stać się środkiem pomocniczym w nauce szkolnej w zakresie historii Polski. Stąd wywodzą się dzisiejsze wyobrażenia tak o pewnych faktach historycznych podanych nam w wizyjnej koncepcji przez Matejkę jak i konkretnych postaciach królów, hetmanów, książąt itd.

Ujmując sprawę politycznie, myślę, iż nie będę daleki prawdy, jeżeli powiem, że Matejko, rozkochany w szlacheckiej przeszłości polskiej aż do obsesji, nie był ani radykałem ani liberałem. Do żadnych partii nie należał, chociaż ówczesna Galicja zrobiła z niego „stańczyka“, a więc partyjnika. Posądzenie to opierało się na jego zresztą bardzo luźnych stosunkach z arystokracją, która kupowała u niego obrazy i zamawiała portrety. Za przykład, jak czuł i rozumiał tych arystokratów Matejko, niech posłuży parę zdań rzuconych przyjacielowi arystokracie wtedy, gdy zrezygnował z ofiarowania narodowi francuskiemu „Joanny d-Arc“: „Wy, panowie wszyscy, żadnych nie znacie obowiązków dla kraju, wyście potracili wszelkie poczucie, czym być dla kraju trzeba. Wy możni, wy hołdujecie tylko jeszcze możniejszym, gonicie za odznaczeniami i orderami. Gdy trzeba urządzić polowanie lub okazale kogo przyjąć, sypiecie setki tysięcy, a w obowiązkach względem narodu straciliście serce. — Wy hańbą społeczeństwa polskiego“. Na podstawie choćby tylko tego tekstu można powiedzieć o demokratycznym nastawieniu Matejki. Będąc człowiekiem mało doświadczonym, odludkiem, mało wyrobionym, nie mógł orientować się w zagadnieniach życia współczesnego, politycznego i ekonomicznego, tymbardziej, że zagłębił się w przeszłość i właściwie żył przez nią i dla niej. Przypuszczam, że z bólu patrioty, którego naród nie ma samoistnego bytu, zrodził się ten wielki smutek, który jest echem wszystkich jego dzieł i myślę, że ten smutek i pesymizm będący atmosferą jego twórczości jest najgłębszym i najsubtelniejszym, właściwym wyrazem Matejki.

ARTYSTA GRAFIK

Wpływ twórczości Matejki na ówczesne społeczeństwo, przynajmniej na jego część, był niewątpliwie znaczny. Nasuwają się jednak wątpliwości, czy był on tak wielki jak się o tym mówi i czy nie był on zjawiskiem wtórnym.

Okres najbardziej wytężonej pracy Matejki obejmował lata drugiej połowy XIX wieku — jednego z najbardziej niespokojnych i brzemiennych w skutki. Rosnący imperializm wywoływał walki wolnościowe ludów — na ucisk odpowiedzią były barykady — powstawali dekabryści, powstawała komuna paryska, zabłysły nazwiska Sciegiennego, Traugutta, Mazziniego, Marksa, Engelsa i ich współtowarzyszy. Europa przechodziła ciężki kryzys nie tylko polityczny ale i gospodarczy. Wzrastały wielkie fortuny, ale wzrastała również wielka ilość wydziedziczonych, bezrobotnych. Rozwój przemysłu, mechanizacja zaprowadzana na coraz szerszą skalę, usunęła z fabryk tysiące ludzi, pchając ich prosto w objęcia głodowej śmierci. Zaczęły płonąć fabryki, a rozbijane warsztaty tkackie świadczyły o odruchach tych, których już nie potrzebowano, mając doskonalsze od nich maszyny. Rok 1811 to pierwszy objaw buntu przeciw bezwzględności i wyzyskowi, buntu podświadomego, nie analizującego przyczyn i skutków. W roku tym po raz pierwszy wystąpiły rewolucyjne manifestacje, które nie były jeszcze zbyt groźne, ale niosły zapowiedź pożaru w Europie. Burza się zbliżała ale jej odgłosy nie docierały do cichej pracowni w małej kamieniczce przy ul. Floriańskiej.

Kraków — stary gród stał w obrębie dostojnych, choć sypiących się w gruzy zmurszałych baszt i blanków. W mieście tym otoczonym resztkami murów puszyły się pałace,



Rys. H. Olszewska

O MATEJCE

w pałacach błyszczał blichtr dawnej świetności. Rody patrycjuszowskie zapatrzone były w kamienice Branickich, Potockich, Lubomirskich, a ci w swoją tarczę herbową i w daleki Burg, gdzie z Bożej łaski cesarz Austrii, Franciszek Józef I, miłościwie panował. W starym Krakowie nie było jeszcze „semperitu", a strzały słychać było tylko na strzelnicy bractwa kurkowego. W starym Krakowie nic się nie działo, a jeśli zrodziła się jakaś myśl wolna, to na pewno już poza murami, gdzieś na przedmieściu. W stancyjkach zajętych przez niesfornych akademików lub innych zapaleńców burzyło się wprawdzie, lecz z nimi nikt się nie liczył. Oni Krakowem nie byli. Istniał tylko jeden Kraków, a w nim Potoccy, Tarnowscy, Lubomirscy i inni magnaci. Ten Kraków w uroczyste dni z lamusów wyciągał kontusze, karabele, guzy pozłociste, a ten, który do kontusza nie miał prawa, przywdziewał sznurami zdobione czamary. To już dawało pozory wolności, a strój szlachecki pobudzał poczucie równości wśród równych.

W takiej atmosferze powstawały wielkie dzieła malarskie Matejki — Grunwald, Hołd Pruski, Batory, Rejtan. Prócz nich tysiące szkiców i notatek rysunkowych, zapisów gromadzonych z niespotykaną pasją. Pracowitość niesłychana, mrówcza zbierania najrozmaitszych ułomków, by z nich potem składać wielkie dzieła. Całe życie poszukiwań w zakamarkach ruin krakowskich, całe życie ciągłego grzebania w tym, co wieki dawne pyłem zasypały. I praca z dokumentem w ręku. Życie spędzone w wysiłku, w którym zagubiło się zupełnie własne Ja artysty, w pracy, w której granica między dziełem sztuki a dokumentem archiwalnym zatarła się niemal całkowicie, w której wreszcie artysta zapomniał o drgnieniach własnego serca, które inaczej by może uderzało, gdyby je mroki przeszłości nie otoczyły. Życie koło niego powstawało, a on tego nawet nie zauważył. Cóż było tego przyczyną?

Na jednym jedynym kilometrze kwadratowym starego Krakowa za dużo znalazło się Eminencji, Ekscelencji, Magnificencji, Jaśnie Oświeconych, Grafów - Szambelanów i Radców Dworu. W oficjalnym Krakowie mogła panować wszechwładnie tylko oficjalna opinia. Z wysokości katedr padały słowa łaskawego uznania, zachęty, lub potępienia. Z tym trzeba się było liczyć, tego nie było wolno lekceważyć nie narażając się na klątwę. I Matejko gorzkie chwile przeżył, gdy nieopatrznie naruszył „świętość narodu" przed oczy społeczeństwu rzucając postacie Ponińskich, Branickich i Potockich w „Rejtanie". Oni to Kraków, Kraków to Polska, a służba dla miasta — to służba Polsce.

Zapatrzony w przeszłość, chciał na niej przyszłość budować, jak gdyby można było w formę przeżytą wlać nowe życie, w formę, z której nic nie pozostało prócz resztek złotogłowia i aksamitów, oblekających tylko próchno.

Twórczość Matejki oparta na historyzmie romantycznym z wprowadzeniem pewnych metod historyzmu krytycznego nie wskazywała żadnych dróg, dawała złudzenie życia narodu, „krzepiła serca" i „wzmacniała ducha". Bo nie mogły matejkowskie notatki historyczne działać pozytywnie, dynamicznie.

Nie można przeceniać wpływu społeczno-narodowego twórczości Matejki, jeśli on w XIX wieku oddziaływał wtórnie na nieliczną tylko garstkę ludzi, uczuciowo, fizycznie lub pochodzeniem związanych ze sobą, podczas gdy cała masa społeczeństwa negatywnie doń się ustosunkowała. Tymbardziej w XX wieku idea szukania wzorów w dalekiej przeszłości nie mogła mieć już żadnego wpływu na kształtowanie się społeczeństw polityczne i socjalne. Tragizmem artysty było to, że podjął idee wskrzeszenia przeszłości nie rozumiejąc życia, a krzywdą wyrządzoną artyście przez nieliczną garstkę ludzi chcących mieć swego proroka było narzucenie mu właśnie tej roli.

Niezrozumieniem również jest nawiązywanie idei politycznej Polski sanacyjnej do twórczości Matejki i wpływu jej na tę politykę. Czynniki, które kształtowały oblicze polityczne kraju nie miały nic wspólnego z wpływami matejkowskimi, jako z dawna przebrzmiałymi i do tego wtórnymi procesami. Szukać ich raczej należy w położeniu geopolitycznym, socjalnym i ekonomicznym ówczesnej Polski, w słabości wewnętrznej a nawet w szukaniu ratunku nie wewnątrz, lecz zewnątrz, przez zbudowanie szerszych podstaw geofizycznych, jak gdyby za tym automatycznie musiało nastąpić wzmocnienie państwowego organizmu. Na kierunek tej polityki już Matejko najmniejszego wpływu nie miał. O ekspansji (gdyby tak można nazwać wyprawę kijowską) decydowały zupełnie inne czynniki, nawet nie próby odegrania rycerskich ról na Dzikich Polach. Być może, że uczuciowe podejście do tego parcia na wschód odegrało pewną rolę, lecz przede wszystkim czynnikiem decydującym o kierunku wschodnim planów ekspansywnych było przełożenie interesów poszczególnych jednostek ponad interes całego społeczeństwa i to jednostek niezainteresowanych na zachodzie. I to przeważyło. I to zdecydowało o kierunku, a nigdy nie wpływ społeczno-narodowy twórczości Matejki.

Zanotował J. M. Gisges

Piotr Chmura i Władysław Strzemiński

ODPOWIADAMY

1. ZACZNIJMY OD FORMY

Możemy sobie wyobrazić posiedzenie klubu miłośników sztuki w wojewódzkim mieście na prowincji. Są malarze, graficy, muzyk, literat, historyk sztuki i kibicująca publiczność z „wykształceniem". Możemy sobie wyobrazić i zapał dyskutantów i erudycję podręcznikową i głębokie „przekonanie i wiarę" w objawiane poglądy, ale aby zadomowić się w klimacie takiej dyskusji na prowincji, trzeba zacząć od tego, co się nazywa sadzeniem na oryginalność, co tam wymaga koniecznie własnego zdania, choćby ciut ciut odmiennego od szanownego przedmówcy, a cóż dopiero wobec tez artykułu, który w rozłożonym piśmie widnieje na prezydialnym stole.

Zacznijmy od formy. **Malarz Nr 2** widzi w Matejce prekursora impresjonizmu. **Literat** akurat naodwrót: zapóźnienie u Matejki wobec impresjonizmu, który w tych latach rozkwita we Francji. Miał rację oczywiście literat, może się bowiem zdarzyć, że i na klubie miłośników sztuki nikt nie będzie miał racji w rzeczach sztuki. Nie miał jej Malarz Nr 2. Bo, że Matejko nie był prekursorem impresjonizmu — dokładnie i szczegółowo napisał już Witkiewicz („Krytyka i sztuka"). A Raszka Jan nie był ani czołowym, ani przedstawicielem—impresjonizmu. Najbliższy szczegółowej prawdy okazał się **Malarz Nr 1.** Ale i on zagrał metodą: ciut, ciut inaczej! „Mocno naciągniętym punktem — powiada — wydaje mi się sięganie aż do Veroneza i Tintoretta... Matejko świadomie nawiązuje do baroku". Ano zgoda, tylko po co szerzej, kiedy ważniejszą jest charakterystyka węższa. I po co, podając szerszą (barok), przeciwstawiać ją węższej a również zawartej w baroku. Na klubie to może chwyt zadziwiający publiczność, ale i zaciemniający prawdę o formie malarstwa Matejki. Bo do jakich obrazów baroku nawiązuje Matejko?

1) nie do intymnych, małych, o małej liczbie postaci, obrazów holenderskich,

2) nie do dworskich obrazów klasycyzującego XVII wieku francuskiego,

3) nie do chłopskich scen i uczt na obrazach flamandzkich, ,

4) nie do religijnej ekstazy baroku hiszpańskiego o nielicznych (stosunkowo) zespołach postaci,

5) nie do wielopostaciowych uroczystości niebiańskich, jak na obrazach (a zwłaszcza na freskach) jezuickiego baroku włoskiego (charakterystyczny byłby tu Tiepolo),

lecz właśnie do:

— dużych obrazów o wielkich tłumach, o tematyce wielkich zdarzeń historycznych. A takimi malarzami są właśnie Tintoretto i Veronese. Do tego szeregu można jeszcze dołączyć część obrazów Rubensa (np. na cześć Marii Medici, królowej francuskiej). Na to rozszerzenie można się zgodzić.

Malarz Nr 1 — jeszcze jedną sprawę postawił „ciut, ciut inaczej". Zgadza się z naszym artykułem, że patriotyzm Matejki wyraża mocarstwowość szlachecką. „Tę potęgę podkreśla jeszcze silniej technika malarska, zheroizowane postacie, patos figur", ale „to wcale nie świadczy (i ten barok również?) o tym, że Matejko zajmował się wyłącznie epoką Jagiellońską i niewiele późniejszą tak co do formy, jak i co do treści". A o czymże świadczy? Kiedy była „mocarstwowość szlachecka", kiedy był barok — Tintoretta i Veroneza? „Ale" na wiatr rzucać nie należy. Oczywiście, że Matejko obmalował całe dzieje Polski, podkreślaliśmy to, szło jednak o określenie epoki, na jakiej koncentruje się nasilenie największych i najsławniejszych Matejki obrazów. Czy nie będą to — Grunwald, Hołd Pruski, Dzwon Zygmunta, Batory pod Pskowem, Stańczyk, Kazanie Skargi, Sobieski pod Wiedniem? Czy nie one stanowią jego główne i największe obrazy? Poza tym okresem obrazy tego wymiaru kompozycyjnego to Joanna d'Arc, Rejtan i Kościuszko pod Racławicami. Obraz, w którym Matejko usiłował zerwać ze swoją przeszłością malarską i nawiązać do postulatów Witkiewicza. Obraz szary w znaczeniu dosłownym, w sensie kolorytu i w przenośni, pozbawiony właściwego Matejce patosu dynamicznego.

„Historiozofia Matejki w tym „mocarstwowo szlacheckim" okresie znajduje swój punkt oparcia. W okresie, który my nazwaliśmy epoką wielkich przedsiębiorstw i firm spekulacyjno-osadniczych na wschodzie. W tym okresie również znajduje punkt oparcia w technice malarskiej, w nawiązaniu do tradycji baroku Tintoretta i Veroneza.

2. PSYCHOLOGIZOWANIE

Ta prawda o formie i tematyce malarstwa Matejki zbyt natarczywie musiała się narzucać dyskutantom w klubie miłośników sztuki, aby ją mogli zbyć milczeniem. Dlaczego Matejko był malarzem historycznym? Dlaczego szedł w przeszłość i to tak „specyficznie"? To były pytania nie wypowiedziane, ale na które szanowni dyskutanci czuli się w obowiązku odpowiedzieć, a raczej — zażegnać je. **Literat** uważał, że nie będzie daleki od prawdy jeśli powie, że Matejko był „rozkochany w szlacheckiej przeszłości polskiej". Ot i wyjaśnienie gotowe. Znakiem tego — **mania**, tyle, że szlachetniejsza od wielu innych. **Historyk sztuki i Malarz Nr 1** obrali inną metodę. Dlaczego malował przeszłość historyczną Matejko, a w szczególności dlaczego tak i taką, jak to określa nasz artykuł — to pytanie szanowni dyskutanci wymienili na inne — dlaczego nie malował inaczej i co innego? I tu już znaleźli się u siebie w domu (na prowincji). Ani kapitalizm na Zachodzie, ani roztrząsania natury politycznej i ekonomicznej, ani krytyka, słowem nic nie miało na Matejkę wpływu, bo był on **„samotnikiem"**, **„odludkiem"**, z **„charakteru typem zamkniętym"**. Jest to klasyczna ucieczka do **psychologizmu**. Psychika samotnika, zamkniętego w sobie introwertyka ma tłumaczyć głuchotę na hałasy w Europie i w samej Galicji. Szkoda, że nie powiedziano jeszcze dobitniej — **od dziecka** był samotnikiem i typem zamkniętym. Możnaby wtedy zachodzić w głowę, jak do Matejki w ogóle cośkolwiek doszło. Obraz „samotnika" to nie punkt wyjścia, to punkt dojścia, to obraz stabilizacji, ale nie psychologii tylko i nie w pierwszym rzędzie, stabilizacji **osobowości społeczno-historycznej**. To co dopuścił do siebie Matejko,- zawiera treści klasowe, jak i to przed czym się zamknął. Nie sam historyczny rodzaj malarstwa skazał go na samotność i zamknięcie. Uczyniła to historiozofia, jaką wyznawał, ona była anachronizmem historycznym wówczas tak w Europie, jak i w kraju. Broniła i umacniała klasę, jaka była w epoce kapitalistycznej przeżytkiem feudalnym, osłaniała interesy burżuazji, która we wskrzeszaniu legendy Jagiellońskiej i stanowej mocarstwowości znajdowała narzędzie tuszowania narastających konfliktów klasowych, ujarzmiania rozbudzających się mas chłopskich, podporządkowywania drobnomieszczaństwa, dezorientowania klasy robotniczej. Nie „samotnik" odrzucał rozwinięte formy kapitalizmu i nie samotnik odrzucał dążenia mas ludowych. Ale fantazjujący wznowienie mocarstwowości szlacheckiej odrzucając w ten sposób i kapitalizm przemysłowy i ruch wyzwoleńczy mas ludowych stawał na wąskiej bazie klasowej, izolowanej od rzeczywistych potrzeb narodu i od rzeczywistego etapu historii kapitalizmu w Europie, stawał na pozycji „samotnika".

Odwoływanie się do psychologii introwertyka to sięganie do wiedzy, która mocno trąci myszką. Oczywiście na prowincji bardziej niż gdzie indziej mogły przetrwać te smutne tradycje z końca XIX wieku „charakterem" załatwiające rolę jednostek w historii. Stosuje je jeszcze z głupia frant filar „Tygodnika Powszechnego", Jasienica. Konrad Mazowiecki wg niego sprowadził Krzyżaków, bo miał potworny charakter, szkoda, że przy pomocy złego charakteru nie wyczarował Krzyżaków, to by dopiero była sztuka. Możnaby na parafialno-prowincjonalnym zapłociu smażyć wypracowania pt. „Jak to za sprawą złego charakteru Konrada Mazowieckiego pojawili się w Europie Krzyżacy".

3. ŚWIATOWE I EUROPEJSKIE ZAGADNIENIA

Naszych dyskutantów staramy się wyjaśnić „po nitce do kłębka". Najpierw pokazaliśmy, jak zatarli właściwą tradycję techniki malarskiej, do jakiej nawiązał Matejko, potem — jak zatarli epokę, z której czerpał on przykazania dla narodu. (Nawiasem mówiąc była to epoka ta sama dla stylizacji malarskiej co i dla „uczenia i poprawiania" narodu). Wreszcie, jak to „charakterem" wytłumaczono odejście Matejki od współczesności i od jej wpływów. Teraz przychodzi kolej na te „światowe i europejskie" sprawy, o których **Malarz Nr 1** orzekł, że „P. Chmura zbyt dużo pisząc o całej Europie, czy nawet świecie, zaciemnił fachowe uwagi Strzemińskiego". Faktem jest, że Chmura i Strzemiński są innego zdania. To co Malarz Nr 1 nazywa zaciemnieniem, my nazywamy rozjaśnieniem. A w tym, co Malarz Nr 1 podaje jako wyjaśnienie — zupełne zamroczenie. „Rozwój imperializmu zachodniej Europy nie mógł działać na Matejkę, bo Matejko był zbyt daleko od rozstrząsań natury politycznej, będąc z charakteru typem zamkniętym w sobie i nie interesującym się bieżącymi wypadkami natury ekonomicznej czy socjologicznej". O „charakterze" już się rzekło. Że zaś rozwój imperializmu zachodniej Europy na Matejkę „nie działał", o tym **myśmy** pisali. I to trzeba było udowodnić. Gonitwa za koloniami, za koncesjami na dalekim Wschodzie, wzrost przemysłu i akumulacja kapitałów w tej, jak to sobie upraszczając, mówi Malarz Nr 1 — „Zachodniej Europie", to była jedna strona medalu, druga — Austria, wchodząca (poprzez samą Austrię i Czechy) w związki i zależności od kapitału i przemysłu zagranicznego i jej prowincje, takie jak Węgry i Galicja, wchodzące w rolę kolonii dla inwazji kapitalizmu austriacko-europejskiego. Dlatego rozwój imperializmu w Galicji można było zobaczyć tylko z tej drugiej strony barykady, od strony klas żyjących losem kolonialnych ludów. Patrząc zaś od strony magnaterii i szlachetczyzny, która we wschodniej Europie była przeżytkowym wspólnikiem i anachronicznym, krajowym plenipotentem eksploatującego kapitalizmu imperialnego, od tej strony działając (choćby jak Matejko na płótnie) ugruntowywało się bieżąco wypadki natury ekonomicznej i socjologicznej, które imperializm czyniły na miejscu, w kraju, zjawiskiem żywym i wszechobecnym, w postaci nędzy mas ludowych i ich niewoli polityczno-społecznej.

Malarz Nr 2 po oracji swego kolegi, wypowiedział się oczywiście „ciut, ciut inaczej". „Naciągniętą rzeczą przez „Wieś" jest to, że imputuje się Matejce rzeczy o znaczeniu ogólno-ludzkim jak rozwój kapitalizmu czy imperializmu. Wypadki takie jak i zagadnienia nie dochodziły do świadomości mężów stanu Galicji. I tym nie zajmował się też Matejko. Nędza galicyjska, ta przysłowiowa nędza, była **zbyt wielka** i walka o prawa polityczne Polaków, o rozwój przemysłu, o płace robotnicze, **była zbyt silna, aby do Galicji mogły dotrzeć zagadnienia ogólnoeuropejskie"**. Ten Malarz nam wyjaśnił! Wyobrażamy sobie, że przemawiał stojąc na głowie. Jedno tylko w tej pozycji nie uległo przewróceniu do góry nogami, to ci mężowie stanu Galicji, do kórych świadomości nie dochodziły sprawy o znaczeniu ogólnoludzkim. Święta prawda. Ale... nędza Galicji (wtedy wchodząca w przysłowie!) masowa emigracja chłopska do Ameryki, walka o prawa polityczne, o rozwój przemysłu, o płace robotnicze to — za pozwoleniem — jakie zagadnienia, nie ówczesne ogólno-europejskie? Nie zagadnienia kapitalizmu i imperializmu? Tylko, proszę panów, przeżywane i stające się celem walki dla masowej ofiary kapitalizmu i imperializmu — proletariatu i mas chłopskich.

Walka o prawa polityczne **Polaków** była w tym okresie zwycięską walką dla magnaterii polskiej, walką, w której ośmieszani i spychani w kąt posłowie chłopscy tak w krajowym Sejmie, jak i w Wiedniu musieli wysłuchiwać uchwał uprzywilejowujących ekonomicznie (w wywozie) wielkie folwarki w Galicji, za cenę chłopskiego bezjutra na roli i w mieście. Bo rozwój przemysłu w kraju magnateria, „walcząca o prawa polityczne Polaków" przekreśliła na rzecz rozwoju przemysłu w Austrii i Czechach, co w dalszej konsekwencji równało się otworzeniu bram dla inwazji eksploatatorskiej kapitału zagranicznego. I stało się nie inaczej. Porzućmy dlatego frazesy o walce o prawa polityczne **Polaków!**

Dopowiadajmy, której klasy Polaków przeciw jakim klasom Polaków. I tylko wówczas zrozumiemy, dlaczego do świadomości „mężów stanu Galicji" nie dochodziły wypadki i zagadnienia, którym na imię było kapitalizm i imperializm. Jeśli tymi mężami stanu była magnateria a później wraz z nią burżuazja finansowa i przemysłowa (Długosze, Poppery itp.), to kapitalizm i imperializm wyrażał się przez nich, w formach specyficznych dla Europy wschodniej, przy zachowaniu stanowego ceremoniału, w kontuszu, z karabelą i pod baldachimem. To pośredniczące ogniwo kapitalizmu i imperializmu maskowało swoimi archaicznymi formami życia i zachowanym przeżytkowym układem stosunków społecznych i produkcyjnych, maskowało i kapitalizm i imperializm. W tej roli pośrednika odciętego od źródeł rozwiniętego kapitalizmu, od jego procesów koncentracji przemysłowej i finansowej, od jego ekspansji na obce lądy i kraje, w tej roli jedynie kacyków, wygrywanych we współeksploatacji własnego kraju i narodu „mężowie stanu Galicji" musieli mieć również nonszalancko-błędne wyobrażenia o rozpętującej się wielkiej grze kapitalizmu imperialnego. W „zaciszu" Austrii, w „zaciszu" Galicji gołąbki wydawały się same lecieć do gąbki choć naprawdę wsuwał je europejski i światowy już mechanizm monopolistycznego i zaborczego kapitalizmu, potrącając sobie również koszta tej prowizji na masach ludowych narodu, do którego należeli „mężowie stanu Galicji".

4. PATRIOTYZM I KIERUNEK ODDZIAŁANIA

Okazuje się zatem, że „europejskie i światowe sprawy" miały również miejsce w Galicji. I Matejko „samotnik" i „odludek" był z nimi w związku. Pisaliśmy o tym wyraźnie, w sposób uporządkowany, dlatego niepotrzebnie **Grafik** opowiedział to raz jeszcze swoimi słowami i oczywiście „ciut, ciut inaczej". Wyszedł groch z kapustą.

Galicja i Kraków były odległe od bitwy o koncesje w Chinach — jak pisaliśmy — ale zarazem bardzo bliskie sytuacji Chin. Z tej samej fali kapitalizmu imperialnego szedł zabór koncesji na galicyjską naftę, sól, węgiel i drzewo, szedł zabór najtańszego robotnika do Niemiec, Francji i do Ameryki.

Magnateria temu procesowi torowała drogę. Była siłą wyzyskaną do utrwalenia i potęgowania tego procesu. Była jedyną siłą korzystającą z pośrednictwa w rozwinięciu tego procesu koncesyjno-kolonialnego. Matejki patriotyzm z nią był związany. My pisaliśmy i mówimy o jego obrazach, dyskutanci w klubie miłośników sztuki — o jego życiu.

Zatarli i oddalili „sprawy europejskie i światowe" (kapitalizm i imperializm) za dziewiątą górę, po czym z namaszczeniem

wystawili patriotyzm Matejki-człowieka, oczywiście również bez przymiotnika. Patriota, bo był super-kustoszem zabytkowego Krakowa (ergo-polskiego!), ufundował stypendium dla studenta od witraży kościelnych, bronił gmachu Św. Ducha, restauracji kościoła Panny Marii i malował — pozwólmy sobie i my tym razem na skrót — Batorego pod Pskowem. Za granicą wystawił obrązy „klasycznej dla Matejki epoki" (Skarga, Hołd Pruski, Batory, Sobieski). Sumując, **Historyk sztuki** powiada: człowiek-patriota. To mało. Prof. Chałasiński określił analogiczny wzór patriotyzmu wyraźniej i ściślej. „W krakowskiej symbiozie inteligenckiego getta i arystokracji ukształtowała się dostojna postać profesora cesarsko-królewskiego Uniwersytetu, doskonała, pełna harmonii synteza uczoności i pozycji towarzyskiej, c. k. profesora i hrabiego, **austriackiej prawomyślności politycznej i kościelnej,** oraz **patriotycznego patosu historii polskiej jako przedmurza chrześcijaństwa.** Doskonały wzór tego typu uczonego polskiego... to prof. St. hr. Tarnowski, w kontuszu i przy karabeli, wręczający obraz Matejki pt. „Sobieski pod Wiedniem" papieżowi Leonowi XIII (1883)!" (Społeczna genealogia inteligencji polskiej, str. 69).

Literat nazywa Matejkę „bezpartyjnym". Niczyim on był — jeno narodu. A z magnaterią? Koty darł. „W obowiązkach względem narodu straciliście serce — Wy hańbą społeczeństwa polskiego" — tak miał powiedzieć, z czego literat wnosi o „demokratycznym nastawieniu" Matejki. A możeby **tak** pofilozofować Szanowny Literacie: po 1) ten, co arystokrację mienił hańbą społeczeństwa, malował historię Polski tak jakoś, że magnackość i szlacheckość „duchem dziejów" stawała się tej Polski przeszłej i przyszłej Po 2) zrobił to „w Rejtanie", zhańbił magnaterię za to, że przestała być sobą, że zdradziła swą świetność. A to nie było przekreśleniem arystokracji, to była apelacja do niej, ambicjonowanie jej do kontynuowania, ba do spotęgowania fikcji minionej przeszłości To samo czynił Sienkiewicz. Nawet Żeromski trząsł sumieniem magnaterii, chcąc z tego sumienia wytrząść lepszy los narodu.

Po 3) Jakiż był rezultat? wymowną odpowiedź daje cytowany fragment prof. Chałasińskiego. Hrabia Tarnowski w kontuszu i przy karabeli ofiarowuje „Sobieskiego pod Wiedniem" papieżowi. Poprawił się, posłuchał tego, czego bardzo chciał usłyszeć.

Grafik, aby się pokazać „ciut, ciut inaczej", zamknął dyskusję wcale konsekwentnym podsumowaniem wypowiedzi szanownych przedmówców.

Jeśli Matejko był „samotnikiem", jeśli nie miał nic wspólnego ze współczesnymi przemianami społecznymi, które ze świata i Europy wnikały w życie Galicji, jeśli wsadził głowę w archiwa szlacheckie, a liczebność klasy ziemiańskiej w ówczesnej Galicji była już bardzo mała — to oddziaływanie malarstwa Matejki winno być wąskie, na ziemiaństwo, „podczas gdy cała masa społeczeństwa negatywnie się doń ustosunkowała". Ale być konsekwentnym wobec szanownych przedmówców w klubie prowincjonalnym to czasem grozi mówieniem od rzeczy. Matejko zdobył popularność niemiejszą od Sienkiewicza, to fakt oczywisty.

I Sienkiewicz i Matejko dokonali tego, co nazwał J. A. Król „wypożyczeniem szlacheckiej ojczyzny" ludowym masom narodu. A. Stawar zwrócił uwagę na to, że „Ogniem i mieczem" było odpowiedzią i na przegraną rewolucję kapitalistyczną polskiego mieszczaństwa z okresu pozytywizmu i na pierwsze manifestacje proletariatu i pierwsze ruchy polityczne chłopów. Nie powstała mocna, niezależna polska burżuazja. Kapitalizm rozwijał się w formie „najazdowej", w części poprzez lokalnych mandatariuszy, współuczestniczących w przekształceniu kraju na pół-kolonię. Kostium Polski szlacheckiej przesłaniał ten proces, wtapiający się w zmurszały układ stosunków pofeudalnych — społecznie (arystokracja), gospodarczo (folwarki) i kulturowo (plebanie).

Dlatego ci, co ten kostium odświeżali, ozdabiali nim proces w gruncie rzeczy nie prowadzący do średniowiecza, choć przy pomocy wielu narzędzi z tego okresu. **Grafik** nie widzi żadnego związku ogniw między obrazami Matejki a „wyprawą kijowską" z 1920 r. Obszerne cytaty z artykułu J. Borejszy („Niepodległość nieurojona") nic mu nie powiedziały. To był „Szlachecki dynamizm", o jaki szło Matejce. Dynamizm w „szlacheckim kostiumie", w duchu jagiellońskiej, mocarstwowej przeszłości, ale przecież realizujący w koncepcji Piłsudskiego Polskę „jako imperialistycznego **protektora wschodu**, traktowanego jako pół-kolonia". Lecz „w rodzinie państw imperialistycznych i kapitalistycznych Polska ze swoim słabym potencjałem przemysłowym... w koncepcji Piłsudskiego mogła odegrać na Wschodzie **tylko służalczą rolę udziału w kolonialnych zyskach niemieckiego imperializmu** w Europie Wschodniej". Takie tylko mogło być przedłużenie (w marzeniach i próbach, pryskających jak bańki mydlane) orientacji klasy obszarniczo-kapitalistycznej, która w latach Matejki grała rolę „mężów stanu", otwierających w Galicji koncesję dla kapitału zagranicznego, i wyrzucających chłopów za ocean.

Dlatego trzeba przestać opowiadać koszałki opałki „o przełożeniu interesów **poszczególnych jednostek** ponad interes społeczeństwa" w wyprawie kijowskiej z r. 1920. To była **klasowa polityka**, związana i zależna od światowego i europejskiego rozwoju kapitalizmu imperialnego, w którym raz jeszcze chciała stworzyć sobie wygodną, rezydencką pozycję.

Piotr Chmura i Władysław Strzemiński

Roger Garaudy

JAK ŻYJĄ ARTYŚCI – PLASTYCY WE FRANCJI*)

Świat kapitalistyczny jest okrutny dla artystów. Nie daje on im zupełnie prawa legalnej egzystencji. Kim jest dla państwa burżuazyjnego artysta - malarz lub rzeźbiarz? Gdy przed kilku miesiącami skarb państwa decydował, do jakiej kategorii płatniczej zaliczyć artystów, zanotowano definicję wprost rewelacyjną: z jednej części swych dochodów zostaliby oni opodatkowani według taksy obowiązującej dla księży, z drugiej zaś, trudnej do skontrolowania, przyrównani byliby do nomadów, osób często zmieniających swą siedzibę.. Tak więc dla rządzącej dziś burżuazji artysta jest hybrydą, pół-proboszczem, pół-tułaczem.

Jego dzieła uważa się za luksus, zbytek, które rząd odrzuca, gdy uznaje, że ma zajęcia i wydatki ważniejsze niż sztuka. Wystawy i muzea poświęcone artystom żyjącym znajdują się w stanie opłakanym od 15 lat. Muzeum Luksemburskie zostało zamienione po wyzwoleniu na archiwum wojenne, zaś na parterze Małego Pałacu (Petit Palais) gdzie odbywały się wystawy „Artyści naszych czasów", zainstalowano... komisariat policji. Policja i wojna, jak widzimy, mają pierwszeństwo przed kulturą i sztuką.

❊

W ustroju kapitalistycznym wszystkie twory i produkty człowieka są towarem. Sytuacja producenta zależy od warunków podaży i popytu. Jaka więc jest z tego punktu widzenia definicja ekonomiczna artysty - plastyka? Jest on producentem, bez statutu i bez praw, towarów luksusowych. I z tej to definicji wynika jego położenie w obecnym społeczeństwie. Jako „producent" przedmiotów zbytku, zna on wszystkie wahania rynku. Sytuacja artysty jest znośna tylko w krótkich okresach tak zwanej „prosperity" lub w okresach wyjątkowych, kiedy dzieła sztuki zyskują wartość spekulacyjną. Tak było naprzykład w latach 1942 — 45. Ograniczenia powszechne, spowodowane okupacją, zmusiły pewne warstwy społeczeństwa do przymusowych oszczędności. Obrazy stały się źródłem lokat kapitału, z braku lepszej. Na pewien czas dzieła sztuki zyskały, jeśli nie na godności, to na wartości w charakterze towaru. Tego rodzaju okresy pomyślności są jednak wyjątkowe. Gdy tylko „interesy" zaczynają się psuć i tym samym świadczą o zbliżającym się kryzysie, pierwszą ofiarą zbliżającego się kryzysu ekonomicznego, pierwszym bezrobotnym — jest artysta...

W obecnych warunkach we Francji, artysta - malarz, normalnie tworzący, ma wydatki zawodowe w wysokości 100.000 fr. rocznie, zaś rzeźbiarz 150.000 frc. Przyrównajmy do tego „minimum życiowe" określone przez organizacje zawodowe na 150.000 frc. i odpowiedzmy na pytanie: Ilu artystów malarzy lub rzeźbiarzy zarabia dziś 300.000 frc. rocznie, koniecznych do skromnej egzystencji i normalnej pracy? Nie będzie przesadą, jeśli odpowiem, że w 1949 roku 80% artystów-plastyków nie ma materialnych możliwości na wykonywanie swych zadań. Nie jest to tylko dramatem osobistym każdego z nich, jest to strata wartości duchowych całego narodu. Ogromna większość bogactw ludzkich i artystycznych naszego kraju, staje się ugorem.

Do trudności ogólnych spowodowanych kryzysem ekonomiki kapitalistycznej we Francji, które paraliżują działalność twórczą naszych artystów, dorzucić trzeba te specjalne przeszkody i trudności, które istnieją tylko dla nich. Rzeźbiarz i malarz są dla naszego ustroju, jak powiedzieliśmy, producentami artykułów luksusowych. Lecz nie zapominajmy dorzucić: producentami bez statutu i bez praw. Wypływające z tego założenia trudności odczuwają oni na każdym kroku. Wróćmy najpierw do sytuacji podatkowej. Po długich wahaniach porzucono porównanie ich z księżmi i nomadami, skończono na zaliczeniu artystów do tzw. wolnych zawodów. Nie liczono się jednak ze specyficznym charakterem ich dochodów, zależnym w znacznej części od przypadku. Artysta, producent luksusu, stał się w rezultacie podwójną ofiarą zeszłorocznego „prélèvement Meyer", specjalnego podatku dla chłopów i wolnych zawodów. Po pierwsze został on nadmiernie obciążony, jako płatnik bezpośredni, po drugie — przez podatki dodatkowe przy operacjach handlowych produktami luksusowymi. Wykres sprzedaży dzieł sztuki pokazuje najlepiej, jak odbiło się to „prélèvement" na malarzach. Choć wydaje się to paradoksalnym, ale dla artystów znacznie wygodniejszym byłoby zaliczenie ich do kategorii rzemieślników, niż przyrównanie z adwokatami i lekarzami. Korzystaliby oni wówczas z 23 § Kodeksu podatkowego, mówiącego o podatkach pośrednich — rzemieślników...

Przejdźmy do sprawy pracowni malarskich. Większość artystów paryskich posiada pracownie nie odpowiadające ich potrzebom: brudne, nie wystarczające, często pozbawione wody bieżącej. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że nie prowadzi się żadnej polityki budowlanej, lecz przede wszystkim z tego względu, że większość prawdziwych pracowni jest dzierżawiona na warunkach spekulacyjnych, pod nazwą „studiów" przez snobów, handlarzy antykwariami, lub handlarzy towarami artystycznymi. Nie ma mowy o pierwszeństwie dla prawdziwych artystów.

Ci zaś szczęśliwcy, którzy mają swoje pracownie, muszą w przeważającej mierze zrezygnować z nich, z powodu nowej taryfy mieszkaniowej. Atelier artystyczne wymaga dużego metrażu i oświetlenia, a właśnie takie lokale są obiektem największej podwyżki komornego...

Pogarda państwa burżuazyjnego do artystów wyrażona jest jeszcze w budżecie Ministerstwa Sztuk Pięknych. W budżecie tym kredyty na utrzymanie wystaw i zakup dzieł artystów żyjących złączone zostały w jedną sumę. Nie wystarczy ona jednak na utrzymanie samych tylko muzeów. Jeden przykład dodatkowy: w tym samym budżecie, na rok 1943 wydzielono 22 miliony na: subwencje dla muzeum narodowego na zakup pierwszorzędnych dzieł sztuki.. Jak wiadomo jeden obraz Van Gogha czy Seurat'a kosztuje tyleż...

Nakoniec, zamówienia państwowe stanowią prawdziwą jałmużnę i dają jaskrawy obraz tego, jak państwo ocenia pracę artystów. Oto dwa przykłady: W roku 1946 — 47 powierzono zrealizowanie statui Fenelona w Cambrai pewnemu rzeźbiarzowi. Realizacja wymagała 16 miesięcy pracy, rozdzielonych na dwa prawie równe okresy. Za dzieło to zapłacono mu 300.000 frc. Jeśli zsumujemy koszta odlewu i powiększenia, komornego i opału atelier, kupna kamienia i transportu do pracowni, pozy do modelu i opłaty pomocników, otrzymamy 190.000 frc. Czysty dochód rzeźbiarza, nie biorąc pod uwagę podatków wynosił 110.000 fr. za 16 miesięcy pracy. Mniej więcej tyleż zarabiał w tym okresie niewykwalifikowany robotnik...

Trzeba zmienić ten stan rzeczy. Dać artystom statut specjalny, pracownie, zabezpieczyć zbyt ich prac, zwrócić lokale wystawowe (Luksemburg i Petit Palais), zorganizować wystawy międzynarodowe malarstwa i rzeźby we Francji i wówczas Paryż odzyska swój zaszczytny tytuł stolicy sztuk...

Potrzeba stanowczej polityki. Największymi zaś wrogami artystów są ci, którzy bawią się w demagogię i gestykulację. W marcu ubiegłego roku „Przyjaciele sztuk" rozpisali ankietę poświęconą obronie artystów - plastyków. Wśród obietnic i deklaracji słyszeliśmy pana Buron (M.R.P.), pana Binot (S.F.I.O.) i gaullistę Claudius'a Petita, który odkrył przyczynę wielkiego upadku naszej sztuki: „Powiem wam dlaczego: wszystkiemu winne jest to, że ludzie polityki nie interesują się sztuką" Ci trzej parlamentarzyści należą do większości rządowej, która rujnuje artystów, zaś pan C. Petit, został w międzyczasie ministrem odbudowy. I oto widzimy go przy robocie. Co robi? Jest autorem nowego prawa mieszkaniowego, które wyrzuca artystów z ich pracowni. Istnieje jeszcze jeden problem, związany z rozwojem sztuk pięknych we Francji. Jest nim problem nauczania sztuk plastycznych w szkołach. Znajduje się ono w stanie stałego upadku, na wszystkich szczeblach nauczania. W szkołach średnich zamiast 4 godzin tygodniowo mamy dzisiaj 1½. Na wyższych uczelniach (politechnikach) poświęca się rysunkom 2 godziny miesięcznie. Wreszcie brak wszelkiego zabezpieczenia studentów (stypendiów) i wysokość czesnego redukuje stale ilość przyszłych artystów.

W dzisiejszej Francji bariera finansowa, bariera polityki klasowej zamyka drogę do sztuki, do Francji artystycznej, ogromnej większości naszej młodzieży. W reżymie, który zmusza 80% rodzin do posyłania swych dzieci w wieku 13 — 14 lat do pracy, bez względu na ich zdolności, zabija się codziennie małego Cézanne'a i małego Rodina. Nie mówimy, że w ustroju innym, każde dziecko stanie się Cézann'em lub Rodin'em, lecz jesteśmy przekonani, że pozwoli się każdemu młodemu, który ma talent, rozwinąć go w zupełności...

W „Antoniuszu i Kleopatrze" Szekspira bogowie w decydującym momencie bitwy d'Actiwum zmieniają obóz. W naszej rzeczywistości mistrzowie kultury i sztuki porzucają obóz burżuazji i stają u boku klasy robotniczej, u boku tych, którzy bronią życia. Dlatego panowie z klasy panującej nienawidzą i boją się reprezentantów kultury i sztuki. Nikt nie śmie oczywiście mówić jak w dramacie hitlerowskim: „Gdy słyszę słowo kultura — wyciągam rewolwer", lecz walczy się z nią sposobami znacznie skuteczniejszymi. Budżet francuski w 1949 roku mówi za siebie. Nasi władcy chcą zrobić z Francji państwo policyjne, rezerwuar piechurów dla przyszłego legionu „antybolszewickiego". Kredyty wojskowe przekraczają 400 miliardów. Wystarczyłoby jednodniowych wydatków militarnych na zabezpieczenie pracy artystom plastykom w ciągu roku. 30 miliardów wydano na dwukrotne mobilizacje przeciwstrajkowe. Można by za tę sumę zabezpieczyć zamówieniami wszystkich naszych artystów i to w ciągu długich lat, dać możność Francji odzyskania swojego autorytetu twórcy artystycznego.

I równolegle do tego wzmagania się państwowej maszyny represyjnej szaleje wolność wypowiadania się. Oto kilka przykładów:

Artysta Fougeron został oddany pod sąd za swój afisz w obronie pokoju. Minister spraw wewnętrznych, który kazał strzelać do górników we Francji, zabronił wyświetlania filmu z rysunkami Daumier'a**) poświęconemu rocznicy „Wiosny Ludów". Pan Jules Moch zakazał wystawy rysunków Daumiera, czego Cavaignac ***) w czasie najsroższej represji nie śmiał zrobić. Państwo chce zamknąć artystę w wąskich ramkach producenta luksusu. Jeśli zaś chce on uczynić ze swej sztuki funkcję postępu socjalnego, spada na niego natychmiast represja polityczna.

W tych warunkach materialnych i moralnych nie ma więc mowy o rozwoju i istnieniu sztuki. Trzeba wybrać. I ten wybór fundamentalny jest nie tylko wyborem artysty. — Jest on wyborem obywatela.

Artysta jest przede wszystkim obywatelem. I przyszłość sztuki zależy od jego wysiłków obywatelskich. Przyszłość sztuki jest związana z przyszłością ludzi i narodu. Nie ma nowej sztuki bez nowych ludzi, i nie ma sztuki wolnej w narodzie niewolników. Sprawa sztuki zlewa się w jedno ze sprawą ludu.

Tłumaczył **Karol Kewe**

*) La Nouvelle Critique, nr 2, styczeń 1949.

**) Malarz francuski z połowy XIX wieku.

***) Generał francuski, w następstwie prezydent, który dokonał krwawej rzezi robotników w czerwcu 1848 r.

Grzegorz Tomala

Na terenie pewnej gminy...

Przed 1939 rokiem na terenie naszej gminy liczącej kilka dość dużych wiosek były zaledwie 2 biblioteki, z których mogli korzystać wszyscy mieszkańcy. Główna jednak warstwa mieszkańców gminy, którą stanowili średnio- i małorolni chłopi, zajęta troską o chleb powszedni rzadko miała chwilę czasu, którą mogłaby poświęcić na czytanie książek. Mała tylko liczba chłopów — przeważnie bogatszych — znajdowała na to wolny czas. Lecz ich czytanie nie przynosiło nikomu żadnego pożytku. Czytali oni bowiem nie po to, aby się czegoś nauczyć, aby dowiedzieć się o życiu, o stosunku jednej klasy społecznej do drugiej, ale czytali po prostu dlatego, bo podobała im się jakaś scena, postać, lub wątek erotyczny w danym utworze. Ta część utworu czytana była w każdej wolnej chwili. Czytano wiele romansów, powieści sensacyjnych, które obfitowały w mordy i różne „cuda" czynione przez detektywów. Natomiast wartościowe powieści Prusa, Reymonta lub Żeromskiego i innych były zupełnie nieznane. Nikt np. nie wiedział o „Kordianie i chamie" Kruczkowskiego.

Zobaczmy jednak, jak inaczej ta sama sprawa wygląda na terenie tejże gminy — dziś. Otóż z początkiem 1949 r na terenie wspomnianej gminy do dwóch stałych bibliotek dodano siedem punktów bibliotecznych, które pozwalają każdemu obywatelowi na swobodny wybór książek. Otwarcie punktów bibliotecznych, a tym samym udostępnienie czytelnictwa, zostało przyjęte z widocznym zadowoleniem przez chłopów, którzy wierzą teraz sami i powtarzają, że państwo chce podnieść wśród nich oświatę i polepszyć ich dolę, bowiem umożliwia im dostęp do książki, do wiedzy, która przecież jest niezbędnym czynnikiem rozwoju klasy chłopskiej. Tę potrzebę wiedzy odczuwają wszyscy i garną się do niej chętnie. Na czoło jednak wysuwa się młodzież. Po niej dopiero idą dorośli do lat 30 kilku a za nimi wreszcie starzy. Czytelnicy czytają utwory różnych pisarzy, najwięcej jednak Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa, Reymonta i Żeromskiego. Nie gardzą także powieściami podróżniczymi. Czytają także i to z ciekawością utwory współczesnych pisarzy, utwory przedstawiające walki klas w dawnej Polsce i zawsze są nieodłącznymi sympatykami pokrzywdzonych, wyzyskiwanych, tych z „Dalekie i bliskie" Władysława Kowalskiego, czy z „Ugorów" Pogana. Za niemniej radosny objaw należy również uważać fakt, że czytają książki poświęcone ich zawodowi — rolnictwu i co jest jeszcze bardziej radosne, że korzystają skrzętnie z porad tam wyczytanych. Chłopi czytają także gazety, które zajęły w ich życiu naczelne miejsce. Przed wojną w naszej gminie prenumerata wszystkich czasopism rolniczych nie osiągała liczby stu. Dziś rozpowszechnione są po wsiach takie czasopisma jak: „Wieś", „Zielony Sztandar", „Dziennik Ludowy", „Rolnik Polski", „Chłopska Droga", „Głos Chłopski", które czytane są przez tysiące czytelników. Czytają je nawet starsi, którzy narzekają na niedostateczne światło, jakie dają lampy naftowe, oraz na brak okularów. Z tym ostatnim radzą sobie jednak wyśmienicie: bowiem kilku a nawet kilkunastu chłopów korzysta z jednych okularów. Nierzadko okulary takie wędrują przez kilka dni od domu do domu, zanim wrócą do właściciela.

Wyżej wymienione fakty mówią same za siebie. Wystarczy je zebrać i porównać, aby mieć dane postępu oświaty na wsi.

Rzejowice, pow. Radomsko

Paulina Czyżowa

BŁĘDNE ROZUMOWANIE

W poprzednim (7) numerze „Wsi" ukazał się artykuł Lecha Budreckiego „Liberalizm wobec imperializmu". Artykuł ten redakcja uważa za dyskusyjny, ponieważ niedość jasno precyzuje on pewne pojęcia, z czego mogłyby wyniknąć poważne błędy w interpretacji. Artykuł Budreckiego zestawia trzy wybitne pozycje literatury powojennej w Polsce, dające ocenę wojny hitlerowskiej w kategoriach moralnych. Artykuł łączy te utwory literackie wskazaniem wspólnego źródła tych ocen — pierwszego ostrego zetknięcia się mieszczańskich liberałów z przejawami imperializmu światowego. Zofia Nałkowska w „Medalionach", Artur Sandauer w „Śmierci liberała" i Tadeusz Borowski w obu swoich książkach „Pożegnanie z Marią" i „Kamienny świat" potępiają faszyzm — jak pisze Budrecki — w imię „umowy etycznej" przyjętej przez mieszczański liberalizm.

Otóż — liberalizm! Budrecki utożsamia go z moralizmem. Więc moralizm = liberalizmowi, liberalizm = moralizmowi. W konsekwencji wszystko co moralistyczne jest liberalistycznym i na odwrót. Myśl tę można uważać co najwyżej za paradoks — bądź logiczne niewykończenie rozumowania. Gdyby się przyjrzeć bliżej historii liberalizmu możnaby w niej znaleźć obrazy i postaci niemniej amoralne — niż amoralizm imperializmu. Np. Cavaignac i rzeź czerwcowa, Thiers i rzeź komunardów paryskich. I dziesiątki innych. Gdyby zaś moralizm był tą podstawową i wyróżniającą zasadą liberalizmu — trzebaby katolickiego Dantego zaliczyć do mieszczańskich liberałów, a cynicznego i amoralnego mieszczanina Rabelais'go do antymieszczańskiego obozu. Budrecki nie zrozumiał po prostu kameleonowej historii liberalizmu i liberalnego mieszczaństwa — które niekiedy broni króla przeciw skrajnym monarchistom, kiedy indziej uderza króla wespół z grupami centrowymi, raz broni centralizmu państwowego, innym razem zaczyna głosić swoistego rodzaju anarchizm, czasem broni ogólnoludzkiej moralności, by później własnoręcznie ją zlikwidować. Zawsze jednak ma na oku swój własny interes klasowy. Na tę zmienność i wewnętrzną dialektykę liberalizmu zwracali już uwagę jego krytycy w pierwszej połowie XIX w. Moralizm i moralistyczna wrażliwość liberalizmu była co najwyżej jedną z wielu jego masek. I nie w nich tkwią istotne cechy liberalizmu.

Czy można jednak zaprzeczyć, że każdy system społeczny posiada właściwe sobie normy i oceny moralne. Gdyby Budrecki wykazał, jakie są oceny i normy moralne liberalizmu — i następnie dopiero przyrównał je do norm i ocen moralnych omawianych przez siebie autorów — wówczas dopiero miałby prawo (gdyby wynik porównania pozwolił na postawienie znaku równości między normami moralnymi autorów i liberalizmu) zaliczyć ich do obozu liberalistycznego. Zaliczenie ich do tego obozu dlatego tylko, że oceniają zbrodnie hitlerowskie z pozycji etycznych i nie dostrzegają sprężyn klasowych faszyzmu — jest co najmniej niewystarczające. Przyczyną tego rodzaju widzenia mogą być przecież nieumiejętności obserwacji politycznej (co znów nie jest błędem tylko i wyłącznie liberalizmu), wpływy ideologii chrystiańskiej lub zapóźnionego utopizmu społecznego (którego wpływów na naszą inteligencję Budrecki wyraźnie nie docenia), albo anarchizmu, który jest ideologią raczej drobnego niż wielkiego mieszczaństwa. Itd. itd. Argumentacja Budreckiego jest wyraźnie niewystarczająca — a to przede wszystkim z powodu braku precyzji pojęciowej. Zbytnie rozszerzenie pojęcia „liberalizm" i podciągnięcie pod ten strychulec wszystkich siedmiu grzechów głównych jest skromnie mówiąc — błędem.

Budrecki stara się dowieść (daremnie), że odruch moralnego oburzenia na „masowe egzekucje, gazowanie Żydów, antropofagię, przetapianie ciał ludzkich na mydło" — jest konwencją myślenia liberalistycznego. Dlaczego? Gdyż, znów, nie domyślał problemu do końca. Zbrodnie faszystowskie potępiali wszyscy antyfaszyści. Z potępieniem Oświęcimia, Majdanka, Treblinki wystąpił pierwszy Związek Radziecki i Stalin. Nie w potępieniu moralnym faszyzmu rozchodziły się poglądy partii wewnątrz bloku antyfaszystowskiego, i nie w ocenie jego zewnętrznych przejawów, czynów i działalności — ale w umiejętności zrozumienia wewnętrznego mechanizmu ustroju faszystowskiego, jako przejawu gnicia i łamania się kapitalizmu. Potępienie zbrodni — n i e d z i e l i ł o ale ł ą c z y ł o obóz antyfaszystowski. To potępienie wzmacniało front wyzwoleńczy w czasie wojny, było źródłem jedności narodowej. I często, bardzo często prowadziło liczne jednostki z warstw inteligenckich do obozu robotniczego i komunistycznego (czego znów nie zrozumiał Budrecki). Było pierwszym wejrzeniem w brud imperializmu, które następnie — pogłębione i zintelektualizowane — wprowadzało uczciwego człowieka i obserwatora do obozu robotniczego.

Tę sprawę Budrecki całkowicie pominął. A nie powinien był pomijać. Bo sprawa sojuszników jest dla klasy robotniczej nader ważna i istotna. Jest to częstokroć kwestia życia i śmierci, zwycięstwa czy klęski socjalizmu. Nie wolno i nie należy s c h e m a t y c z n i e i s u c h o potępiać i wyrzucać za burtę (jak to robi Budrecki) ludzi, należących do sojuszników klasy robotniczej, którzy raczej potrzebują poważnej porady artystycznej czy filozoficznej, słusznej krytyki — a nie politycznego potępienia. Niezbyt poważnego — jak u Budreckiego — i ekstrawaganckiego. U kogoś źdźbło... itd.

Budrecki zarzucając omawianym przez siebie pisarzom moralizm i nieprzekroczenie go w kierunku wyjaśnienia mechanizmu moralności — idzie zbyt daleko w krytyce, a przynajmniej zbyt daleko, jeśli chodzi o obecny etap naszego życia społeczno-kulturalnego. Pozostaje wrażenie, że zagubiono tu podstawowe bodajże specificum literatury, która interesuje się zawsze w różnych stylach i kategoriach ocen indywiduum ludzkim, losami człowieka jako przejawu życia grupowego i społecznego. Oceniać w kategoriach moralnych, jest zadaniem i przywilejem pisarzy, przywilejem, z którego zrezygnować nie mogą, zadaniem, które spełniać powinni.

Błędne sugestie płynące z artykułu Budreckiego, będącego wszak artykułem politycznym, bliższym publicystyce politycznej niż krytyce literackiej wynikają zapewne z efektownego, ale nie zupełnie istotnego zestawienia tak odrębnych indywidualności pisarskich (literackich), jak omawiane. Zasługą jednak i niewątpliwie słuszną tezą artykułu Budreckiego jest przeciwstawienie się poglądom o immoralizmie Sandauera i Borowskiego. Sandauer a zwłaszcza Tadeusz Borowski są najwrażliwszymi bodaj w powojennej literaturze polskiej moralistami „czasu pogardy".

W NUMERZE 7 (186) TYGODNIKA „WIEŚ"
z dnia 13 lutego 1949 r.

Krzysztof Sławiński

DYPLOMACJA ATOMOWA

Biały Dom przeżył ostatnio niezbyt przyjemne chwile. Dwa oświadczenia radzieckie — tak bardzo pokojowe — wprowadziły w stan wzburzenia amerykańskich dyplomatów, którzy obawiają się deklaracji pokojowych ZSRR jak osławiony diabeł łaciny. Nowe kulisy tego zatrwożenia „pokojowego" mocarstw anglosaskich obnażył przed niedawnym czasem fizyk angielski, jeden z czołowych badaczy energii atomowej prof. P. M. S. Blackett w książce „Military and Political Consequence of Atomic Energy" (Wojskowe i polityczne następstwa wynalazku energii atomowej). Książka jest obszerna i ciekawa. Zarówno dlatego, że pokazuje istotny sens tzw. polityki atomowej jak i jej rzeczywistą siłę, a ściślej niemoc.

Otóż po pierwsze autor stwierdza, że cała kampania lotnicza w czasie drugiej wojny światowej — nie przyniosła koalicji większych korzyści a faszystowskim agresorom większych strat. Przeliczmy wyniki liczbowe. *) Na Niemcy i Japonię zrzucono ogółem 2,7 miliona ton bomb — z tego tylko na Niemcy przypadło 1,35 miliona ton. A jakież były efekty? Według oświadczenia głównodowodzącego angielskich sił lotniczych naloty bombowe obniżyły potencjał przemysłowy Niemiec w 1943 r. o 10 proc. — a produkcję materiałów zbrojeniowych tylko o 5 proc. Blackett stwierdza wyraźnie, że rozgromienie Niemiec nastąpiło przede wszystkim na lądzie. I tylko na lądzie. Czyż nie jest to wystarczające doświadczenie dla dzisiejszych agresorów? Słuchajmy dalszych wywodów Blacketta. Głośna, nader głośna, sprawa bomby atomowej, strąconej na Japonię. Cóż mówi o tej hisorii angielski profesor?

Stwierdza najpierw, że wśród amerykańskich sfer naukowych istniała wówczas silna opozycja przeciwko użyciu energii atomowej w charakterze broni niszczycielskiej. Po pierwsze z przyczyn humanitarnych, po wtóre — nie wierzono w ich skuteczność. Blackett cytuje artykuł byłego amerykanskiego ministra spraw wojskowych, z którego wyraźnie wynika, że politycy amerykańscy zdawali sobie sprawę z całej zbędności użycia bomby atomowej. Po co jej więc użyli? Zagadka niezbyt skomplikowana, po prostu — wyjaśnia prof. Blackett — gra dyplomatyczna. Bomby atomowej użyto w istocie nie przeciwko Japonii, lecz przeciwko... Związkowi Radzieckiemu. Blackett pisze, że użycie bomby atomowej „nie było wcale ostatnim aktem drugiej wojny światowej, lecz pierwszym aktem zimnej wojny dyplomatycznej przeciwko Rosji"... Czyż nie jest to wystarczający argument dwulicowości amerykańskiej polityki? Ale to jeszcze nie wszystko.

Politycy amerykańscy przed zrzuceniem i po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroshimę zdawali sobie dobrze sprawę, że nie miała ona wcale decydującego wpływu na wojnę z Japonią. Nie przyczyniła się w żadnej mierze do osłabienia siły militarnej Japonii — gdyż wówczas jeszcze jej główne siły zbrojne były niemalże nienaruszone. Ale czegóż nie robi „wszechwładna" propaganda amerykańska? Rozdmuchano agresję atomową — oświadczono, że była ostatnim gwoździem wbitym w trumnę japońskiego faszyzmu. Blackett wykazuje jasno i wyraźnie, że to nie bomba atomowa, ale uderzenia Armii Radzieckiej, które pozwoliły ująć Japonię w podwójne kleszcze — zmusiły Tokio do kapitulacji. Ale kłamstwo cudownej skuteczności bomby atomowej zbudowanej na tak kruchych podstawach wciąż jeszcze żyje na Zachodzie. Jeszcze do dziś dnia politycy waszyngtońscy wierzą, że polityka zagrożenia „atomowego" pozwoli im osiągnąć panowanie nad całym światem. Wiara złudna i nierealna. Blackett rozwiewa także ten miraż, gdyż miast wzmacniać autorytet Stanów Zjednoczonych — przysparza im coraz więcej wrogów — i coraz bardziej wyosóbnia z ludzkości wzmacniając równocześnie autorytet ZSRR.

W dalszysh partiach książki Blackett obnaża cały agresywny i imperialistyczny cynizm słynnego planu kontroli atomowej Barucha i knowania bieżącej polityki Waszyngtonu. Bezustannie jednak wykazuje, jak wielka rozpościera się przepaść pomiędzy pragnieniami a możliwościami, między wolą imperialistów — której przeciwstawiają się narody, a wykonaniem zamierzeń, których nie mogą zrealizować wbrew woli ludów, potwierdzając tym samym słowa Żdanowa, że „między życzeniem imperialistów rozpętania nowej wojny i możliwością zorganizowania takiej wojny — istnieje ogromny dystans". Tym bardziej, że Ameryka nie posiada już monopolu na bombę atomową.

Jakże teraz wygląda — na tle książki prof. Blacketta — polityka mocarstw anglosaskich? Przypomina nieco porcelanę, niezbyt delikatną i subtelną, ale w każdym bądź razie kruchą. Rozbijają ją narody Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, ludy Azji i Europy, demokracja całego świata.

Zdaje się też, że dlatego boi się Waszyngton tak bardzo ofert pokojowych Stalina, gdyż wie, ilu ma przeciwników na całym świecie i jak mało posiada realnych możliwości wykonania swoich planów wojennych.

*) Pewne dane informacyjne płynące z amerykańskich kół politycznych świadczą, że lotnictwo amerykańskie **starało się oszczędzać** ośrodki przemysłowe Niemiec.

Maciej Koliba

PRZODOWNIKOM WSI

Na łamach tygodnika „Wieś" toczyła się w latach 1946 — 7 dyskusja, w jaki sposób rozszerzyć czytelnictwo na wsi. Starzy działacze ludowi i nowy przodowniczy element — stwierdzali wówczas, że na terenie wiejskim istnieje zapotrzebowanie na książkę. Trudności widziano tylko od strony organizacyjnej — w braku ogniw przerzutu książki na wieś i ponadto w jej wysokiej cenie. Dzisiaj sprawa radykalnie się zmieniła. Z chwilą powstania Komitetu Upowszechnienia Książki jest rozwiązany problem kolportażu a przede wszystkim udostępniona możność nabycia książki przez znaczne obniżenie jej ceny. KUK rzucił na rynek przed miesiącem pierwszą partię książek. Składają się na nią dzieła klasyków europejskich i polskich. Jest więc z europejskich Wiktor Hugo (Nędznicy), Gorki (Matka), z polskich: Jeż, Kraszewski, Orzeszkowa, Sienkiewicz. Czytelnik wiejski na podstawie „Dziurdziów" Orzeszkowej „Roztoków" Orkana i „Orki na ugorze" Wiktora może dowiedzieć się, jak rozgrywały się dzieje wsi w określonych epokach historycznych. Akcja KUK-u jest szeroko zaplanowana. Obejmie ona dzieła najcelniejsze nowszej literatury europejskiej i polskiej. Zbliży w ten sposób nowego, masowego czytelnika do najcenniejszych wartości w naszej kulturze, stworzy podstawy do prawidłowego rozumienia współczesności.

Komitet Upowszechnienia Książki po wydaniu pierwszych 12 pozycji akcję rozprowadzenia książek powierzył Państwowym Zakładom Wydawnictw Szkolnych, akcentując, by książki dostały się w ręce czytelnika nie biorącego dotychczas w dostatecznym stopniu udziału w konsumowaniu dóbr kulturalnych — tzn. do mas wiejskich i robotniczych. Dotychczasowe wyniki są jednak niepokojące. Okazuje się, że tania i dobra książka w dalszym ciągu nie dochodzi do przeznaczonych rąk. Chwilowo mamy tylko informacje o akcji KUK-u na terenie województwa łódzkiego. Rozprowadzenie książki pomyślane jest w formie wolnej sprzedaży rynkowej i w formie prenumeraty. Okazuje się, że na 100% zgłoszonych prenumerat wydawnictwa w województwie łódzkim jest tylko 7% robotników i 2% chłopów, reszta to pracownicy umysłowi, młodzież szkolna, rzemieślnicy, wolne zawody. Ten stan rzeczy musi jak najszybciej się zmienić. Książka musi dotrzeć do robotników i chłopów. Jak problem można rozwiązać na odcinku wiejskim? Trzeba, by sprawą tą poważnie zajęła się inteligencja wiejska: nauczyciele, kierownicy świetlic, kierownicy spółdzielni — ci wszyscy więc, którzy są odpowiedzialni za życie społeczne, kulturalne i gospodarcze wsi. Chodzi przecież o to, by książka nie tylko znalazła się w wiejskich punktach bibliotecznych, ale aby była dla chłopa artykułem pierwszej potrzeby. Jeżeli wieś masowo dzisiaj nie nabywa wypuszczonej przez KUK pierwszej partii wartościowych powieści, to w pierwszym rzędzie dlatego, że nie jest zorientowana w technice zakupu. Byłoby dobrze, gdyby gimnazja wiejskie, szkoły rolnicze, koła polityczne, koła Z.S.Ch. organizowały wieczory popularyzowania książek KUK-u. Dużą usługę mogą tu oddać również koła Z.M.P. Wieś trzeba zainteresować sprawą, wzbudzić w niej ambicję, by w domach chłopskich miejsce literatury jarmarcznej zajęła dobra książka. Istnieje dziś szansa dla każdego człowieka pracy stworzenia sobie za niewielkie pieniądze własnej domowej biblioteczki, istnieje szansa, by wieś przez książkę zbliżyć do kultury ogólno-narodowej i europejskiej.

Opory oczywista mogą być. Wieś do drugiej wojny światowej wychowywana w systemie parafialnym, który odcinał ją od postępowych treści kulturalnych, ma słabo wyrobione tradycje czytelnicze. Utrzymywał ją w tym niski stan szkolnictwa przedwojennego, dający jeszcze dzisiaj duży procent analfabetów. Zmniejsza on się jednak z roku na rok. Wieś zmienia dziś swoje cywilizacyjne oblicze, nowy ustrój potrafił w latach ostatnich zelektryfikować setki wiosek, w tysiącach wprowadzić spółdzielnie i ośrodki maszynowe. Nowy człowiek wsi rodzi się poprzez wrastanie w postępową gospodarkę, opierającą się na szerszych powiązaniach społecznych. Wejdzie on o wiele szybciej w nowe formy życia społecznego, zapewniające mu wyższą stopę życiową i poziom kultury, skoro będzie miał pełny ogląd przebytej przez własne społeczeństwo drogi. Ogląd ten ma literatura. Wprowadzenie dziś na wieś najlepszych książek z dorobku polskiego i europejskiego, to również jeden z środków walki z tymi tradycyjnymi wpływami, które chłopu na lekturę przeznaczały żywoty świętych, a wiedzę o świecie i człowieku kazały mu czerpać z ambony wiejskiego kościoła. Im więcej książek znajdzie się na wsi, tym szybciej sczezną te tradycje, którymi ustrój kapitalistyczny trzymał masy ludowe w zacofaniu i niewiedzy. Przodownicy wiejscy i książką muszą walczyć o postępową świadomość człowieka wsi.

F A K T Y i Z D A N I A

Ofensywa pokoju

Związek Radziecki zgłasza na Radzie Narodów Zjednoczonych propozycję zawarcia trwałego pokoju. Delegat radziecki proponuje na Radzie Bezpieczeństwa przy O. N. Z. poważną redukcję sił zbrojnych wielkich mocarstw i poważną redukcję wydatków na cele wojenne. Dlaczego przedstawiciele USA i Wielkiej Brytanii — Warren Austin i Alexander Cadogan nie umieli odpowiedzieć na propozycję rzeczników pokoju?

Sprawa wygląda bardzo prosto. „Nie ulega wątpliwości, że wydatki wojskowe stworzyły w Ameryce sztuczną prosperitę. Byłoby dla nas ciosem, gdyby „zimna wojna" skończyła się — pisze „Un News and World Raport" — organ amerykańskich fabrykantów.

Delegaci anglosascy nigdy nie podejmą propozycji pokojowych, ponieważ reprezentują na Radzie Bezpieczeństwa interesy kapitału amerykańskiego. A kapitał amerykański spotka miażdżący cios, jeżeli na świecie zapanuje pokój. Dlatego porozumienie jest takie trudne. W jakich warunkach może jednak nastąpić? Jeżeli Amerykanie i Anglicy będą reprezentowani nie przez delegatów kapitału — ale przez zwolenników pokoju — których i w USA i Anglii nie brak.

p. p.

Gmina czy parafia ośrodkiem kultury?

Minister Sokorski mówił na grudniowym kongresie PZPR, że zgodnie z planem upowszechnienia kultury będziemy mieli w każdej gminie bibliotekę, świetlicę, lub dom kultury, w każdym powiecie co najmniej jedno kino stałe i salę teatralną i w każdym województwie stały teatr zawodowy, teatry objazdowe, wojewódzkie zespoły artystyczne.

Prakyka mówi, że zadanie jest trudne, ale wykonalne. Komitet Upowszechnienia Książki, nowa potężna instytucja kulturalna, rozwiązuje powoli krok za krokiem problem czytelnictwa na wsi. Któż nie wie, że otwarto w ubiegłym miesiącu 1.500 bibliotek gminnych i 20.000 punktów bibliotecznych w kraju? Fakt ten określa się jako rozpoczęcie ofensywy kulturalnej na wieś.

Trzeba jednak pamiętać o innej ofensywie kulturalnej na wieś, wspieranej nie byle jakimi środkami materialnymi i przez dobrze zorganizowaną sieć administaracji. Któż inny, poza ludowym państwem, zgłosił drugi plan kulturalny dla wsi i zamierza go zrealizować? Uchylamy rąbka publicznej tajemnicy: „parafia zawsze była i jest ośrodkiem kultury. Musi ona także wziąć udział w upowszechnieniu kultury przez książkę... przy boku kapłana staje biblioteka jako ważna placówka wychowawcza... Biblioteka winna być umieszczona... w lokalu „Caritasu" czy świetlicy parafialnej w każdym jednak razie w obrębie kościoła... W życiu parafii można umiejętnie związać uroczystość kościelną z odpowiednią lekturą przez wystawienie np. w kiosku, przy kościele czy w kramiku książek odpowiedniej treści. A więc przy uroczystościach świętych — ich żywoty etc... W każdej bibliotece parafialnej musi znaleźć się lektura wymagana w szkole. Dziecko, znajdując książkę potrzebną w bibliotece parafialnej... przywiązuje się stopniowo do komórki życia katolickiego... Pozyskiwanie odbywać się powinno najpierw przez propagandę z ambony...". Skąd ten plan? Ze „Słowa Powszechnego" (15.12.48).

Czy plan realizowany przez ambony i „Caritas" jest zgodny z państwowym planem upowszechnienia kultury? Ne pewno — nie. Czytelnik prasy katolickiej, szczególnie zaś „Tygodnika Powszechnego" dostrzeże bez trudu, że Kościół proponuje jako podstawową lekturę dla wsi — żywoty świętych, szlachetnych królów i rycerzy i chce utrzymać kulturę w starym układzie dworsko - parafialnym. Jest to propozycja nie do przyjęcia. Zresztą, gdyby w obu planach chodziło o upowszechnienie takiej samej kultury, nie mówiłoby się, że polityka kleru jest bardzo często sprzeczna z interesami Państwa Ludowego, nie powstałby równocześnie po państwowym — drugi, księży plan kulturalny, wspierany miliardami złotych.

I o tym trzeba pamiętać nawet w sytuacji, kiedy większość naszych gmin ma już dostarczone książki przez KUK.

J. S.

Pożyteczna książka „Czytelnika"

„Onegdaj stojąc przed witryną księgarni w Sosnowcu posłyszałem rozmowę dwu uczennic ze szkoły zawodowej:

— O, patrz Władziu, jest nowa powieść amerykańska „Kakao".

— Wandziu, nie kupuj jej, bo to jest wielkie świństwo.

— Ależ Władziu, co jest świństwo — kakao?

— Nie kakao, ale ta książka. Radzę ci, nie bierz jej do ręki.

Zaskoczona Władzia, pociągnięta przez towarzyszkę, odeszła. Wyczułem z jej ociągania się, że napewno przyjdzie tu jeszcze i książkę kupi".

Oto jest początek noty, nadesłanej do redakcji przez jednego z „przyjaciół" w terenie. Pan X (tak będziemy dalej nazywać naszego korespondenta), oczywiście za przykładem Władzi kupił także tę „powieść amerykańską" ...i po lekturze książki doszedł do identycznych wniosków w jej ocenie, jak przygodna pensjonareczka sprzed księgarni w Sosnowcu. Książka według p. X przynosi wstyd kolegium redakcyjnemu „Biblioteki Romansów i Powieści" „już w pociągu zacząłem czytać i stopniowo włosy podnosiły mi się na głowie"), zawiera „cały szereg opisów domów rozpusty, scen wulgarnych itp." Pan X cytuje kilka wypowiedzi, które mają zdyskwalifikować autora powieści i wyraża przy tym nadzieję, że wyjątki te zostaną z artykułu przez redakcję skreślone...

Panie X! Włosy „podnosiły mi się na głowie", gdym czytał Pańską wypowiedź. Oczywiście nie z powodu owych cytowanych przez Pana wyjątków! Jeśli jako przykład wulgarności podaje Pan np. takie zdanie (str. 16): „s... syn, krótko mówiąc" — a nie wyjaśnia (lub nie chce wyjaśnić), że zdanie to wypowiada maltretowany robotnik pod adresem właściciela plantacji, zdziercy, wyzyskiwacza, gwałciciela i okrutnika, który nie jedno życie ludzkie ma na sumieniu, skoro wyrywa Pan zdania i fakty z kontekstu całości, nie tłumacząc ich, ani nie chcąc zrozumieć intencji autora, chociaż są one przejrzyste i jasne, no to oburzać się trzeba tylko i wyłącznie na Pana!

Nie zastanowiło Pana nazwisko postępowego i znanego na całym świecie autora powieści „Kakao", pisarza brazylijskiego Jorge Amado? Beztrosko pisze Pan „powieść amerykańska" (czy dlatego, żeby wywołać złudzenie „północno - amerykańska" i łatwiej móc przemycić napaść na postępową powieść?), a nie dodaje (czy celowo?), że tematem powieści jest życie robotników rolnych, wyzyskiwanych przez właścicieli wielkich plantacji kakaowych, że tematem jest **budzenie się świadomości klasowej wśród robotników rolnych**, tak, tych robotników (teraz ja cytuję), których stopy od ciężkiej, źle opłacanej pracy „nabrzmiewały, puchły, palce naderwane u nasady krwawiły otwartymi ranami", robotników, których kobiety właściciel plantacji może bezkarnie gwałcić i posyłać na „ulicę Błota", których dzieci o „posępnych twarzach", „z rozdętemi brzuchami od spożywanej ziemi", „powleczone bladożółtą skórą, noszą dziedziczne piętno straszliwych chorób"...

Pan X widzi tylko domy rozpusty i „wulgarne sceny", a nie dostrzega oczywistej prawdy, że te domy rozpusty, ta cała ulica Błota, prostytucja, nędza, głód, choroby, owrzodzone ciała to nieodłączne rekwizyty ponurego systemu kapitalistycznego, systemu z którym walczy w powieści „Kakao" Jorge Amado.

W swojej nocie Pan X na zakończenie pisał, „Jak więc teraz wygląda Kolegium Redakcyjne „Biblioteki Romansów i Powieści?"

My się pytamy: jak więc teraz wygląda Pan, Autorze złej korespondencji?

Nota nie ma charakteru rozmowy osobistej z panem X. Walczy tylko z opinią, niewątpliwie w ten czy inny sposób szerzoną w środowisku pana X i jemu podobnych.

Nie „brzydka" książka „Czytelnika", jak chciał p. X, ale **pożyteczna książka „Czytelnika"**.

t. p.

Kuźnie socjalizmu

Nota entuzjastyczna?

Do tego upoważniałyby cyfry: w latach 1937—38 było w Polsce 189 szkół i kursów zawodowych rolniczych, łącznie z ludowymi szkołami rolniczymi. W szkołach tych pobierało naukę 8.509 uczniów. W roku 1945—46 mamy już 765 szkół (nie licząc tych, o których nie otrzymano danych) na ogólną liczbę 17.000 uczniów. W r. 1948 przeszkolenie rolnicze objęło 1.700 nauczycieli, 25.000 uczniów szkół średnich, oraz olbrzymią, 450.000 rzeszę młodzieży wiejskiej, objętej obowiązkiem powszechnej oświaty rolniczej. Plan pracy na rok 1949 przyjęty na odprawie naczelników oświaty rolniczej w Ursynowie koło Warszawy (styczeń 1949 rok) przewiduje dalszy rozrost szkolnictwa zawodowo-rolniczego na szczeblu powszechnym, średnim i wyższym (przy czym w samych liceach branżowych, których jest teraz 200, liczba uczniów podniesie się do 16 tysięcy, gdy w roku 1937—38 liczba absolwentów **wszystkich** szkół i kursów zawodowych rolniczych wynosiła 4.875 (R. S. 1947).

Cyfry — oczywiście — jeśli jeszcze nie entuzjazm — budzą otuchę. Ale same cyfry nie wystarczą. Na odbytych ostatnio obradach naczelników oświaty rolniczej w Ursynowie min. Dąb-Kocioł oświadczył, że szkoły rolnicze muszą stać się kuźnią socjalizmu, a każdy uczeń ze szkoły rolniczej aktywnym bojownikiem i budowniczym nowej sprawiedliwej struktury społecznej.

Oznacza to, że szkoły rolnicze muszą przygotować swoich absolwentów do zadań, jakie stoją przed nimi w zdążaniu do gospodarki socjalistycznej. W związku z przebudową ustroju gospodarczego, powstawaniem spółdzielni produkcyjnych na wsi, szkoły rolnicze muszą dać nowy typ pracownika — budowniczego rolnictwa socjalistycznego, uwolnionego od pokutujących jeszcze szkodliwych tradycji ekonomii burżuazyjnej, wolnego od przesądów „wiecznych praw natury", dogmatów ziemi, praw zmniejszającego się przychodu z ziemi i innych „naukowych" praw. Poza tym jeszcze jedno. Wiedza rolnicza, jak każda inna, miała zawsze i ma klasowy charakter, to znaczy, można jej używać w interesie bogatych lub średnio- i małorolnych chłopów. Dlatego bez oznaczenia politycznej funkcji nabywanej w szkołach rolniczych wiedzy, bez wyraźnego przekazania jej w służbę dla mało- i średniorolnego chłopa — nie będą ośrodki szkolenia rolniczego — kuźniami socjalizmu. A przecież czas po temu — najwyższy..

k. m.

O pewnej katechetce i budżecie Ministerstwa Oświaty

Obywatelu Redaktorze!

Czy słyszeliście coś o tzw. katechetkach?

Jest w naszej wsi jedna pani, która uczy religii w pobliskiej szkole. To właśnie katechetka. Jedna z tych, które za pozwoleniem władz duchownych(!) zastępują księży w nauczaniu religii w szkołach (żniwo wielkie, ale kosiarzy mało). Córka 15-hektarowca, 25 lat, po maturze, panna. Ta pani fałszywie tłumacząc ostatnie wypowiedzi członków KC PZPR na temat zeświecczenia szkoły rozwija w gronie miejscowej kułackiej i klerykalnej młodzieży szczególną działalność propagandową, zmierzającą do wywołania wrażenia, że rząd w ogóle zabrania wychowywać dzieci w duchu religijnym. Nie na tym jednak koniec. Propaganda pani K. idzie dalej. Wychodząc z założenia, że usuwa się naukę religii ze szkół, pani K. opowiada o celowej polityce rządu zmierzającej do obniżenia poziomu nauczania w szkołach, a jako dowód podaje wzrost liczby szkół zawodowych („które mają kształcić tylko szewców i krawców, a gdzie „wiedza ogólna")?, oraz istotnie duży procent analfabetów w naszej gminie. Ci analfabeci najdobitniej mają służyć za dowód, „jak w Polsce dba się o oświatę i jak to staczamy się coraz niżej".

Nie idzie mi o panią K., ale jako nauczyciel nie mogę przejść obojętnie obok tego zjawiska. I nie pani K., ale chłopom mojej wsi, szczególnie tym łatwowiernym, za pośrednictwem Waszego pisma, Redaktorze, chcę zadać kilka pytań.

1) Czy wiecie, że w Polsce w latach 1933—39 każde co 10-te dziecko nie znajdowało miejsca w szkole, a dopiero co szóste dziecko chłopskie docierało do klasy piątej, albo szóstej szkoły podstawowej?

2) Czy zdajecie sobie wobec tego sprawę, że obecny stan analfabetyzmu to najsmutniejsze dziedzictwo rządów przedwojennych, że w Polsce w roku 1931 odsetek analfabetów wynosił 31 procent, gdy w krajach np. skandynawskich nie sięgał jednego procenta?

3) Czy wiecie, że w roku 1937 na każde 10 tysięcy mieszkańców studiowało na wyższych uczelniach 13 słuchaczy, ale czy wiecie też o tym, że w roku 1948 na tę samą liczbę ludności pobiera naukę 40 studentów i w tym coraz większy procent młodzieży chłopskiej i robotniczej?

4) Czy znacie ostatnie sprawozdanie z posiedzenia plenarnego Sejmu Ustawodawczego z dnia 10 stycznia, na którym przedłożony został przez rząd R. P. preliminarz budżetowy na rok 1949 i w tym preliminarzu największe sumy przeznaczono na oświatę? Budżet Ministerstwa Oświaty łącznie z wydatkami na oświatę w innych resortach wynosi **73 miliardy 689 milionów zł co stanowi 22,7% całego budżetu państwowego**. Że wzrost procentowy wydatków na oświatę w stosunku do roku 1948 wynosi 98,9%, gdy np. w takim kraju marshallowskim jak Francja budżet szkół powszechnych spadł z 7.2% do 5.8%.

5) Czy wiecie, że w bieżącym roku uruchomiono 3411 szkół średnich zawodowych z 836.790 uczniami, że powstają nowe szkoły powszechne, gimnazja, że w akcji odbudowy wsi odbudowę budynków szkolnych stawia się na równi i wyżej od innych inwestycji gospodarskich?

6) Czy odpowiedź na to pytanie nie brzmi inaczej, jak tak, że dopiero Rząd Ludowy jest **rządem pokoju i oświaty**, a polityka pokojowa występuje najdobitniej w wydatkach budżetowych na oświatę?

Obywatelu Redaktorze! List mój proszę traktować jako zamówienie na prenumeratę. Proszę o przysyłanie 15 egzemplarzy „Wsi" na załączone adresy. Będzie to najlepszą odpowiedzią na szeptaną propagandę różnych katechetek.

Józef Kolasiński

Śladkowice, 1. 1. 49 r.

Robotniczy patriotyzm

W ostatnich miesiącach prasa doniosła o całym szeregu faktów awansu zwykłych robotników (i robotnic) fabrycznych na odpowiedzialne stanowiska dyrektorów fabryk, hut, kopalń. W tych dniach otrzymuje Złoty Krzyż Zasługi były robotnik, obecnie inspektor kopalń i wicedyrektor, polski reemigrant z Francji, górnik Zieliński. Jako rębacz, górnik Zieliński jeszcze w listopadzie ub. roku wykonał ponad 720 proc. normy (co równa się wydobyciu w ciągu jednej dniówki około 44 ton węgla). Oczywiście górnik Zieliński i inni nie dlatego zostają dyrektorami, że „nadludzkim" wysiłkiem osiągają rekordowe wyniki swojej pracy, lecz dlatego, że ich rekordowe osiągnięcia są wyrazem ich „patriotyzmu robotniczego", powstają w wyniku współzawodnictwa pracy, w wyniku nowego stosunku robotnika do pracy, stosunku przejawiającego się w dyscyplinie pracy, w punktualności, rzetelności, **wynalazczości, ciągłym ulepszaniu metod pracy indywidualnej i zespołowej.**

To zjawisko awansu społecznego „ludzi dołów" jest charakterystyczne i możliwe tylko w ustroju socjalistycznym (izotowcy i stachanowcy w ZSRR), towarzyszy każdej rewolucji, która wyzwala ludzi pracy ze stanu robotów — niewolników kapitalisty do godności gospodarza warsztatu pracy. Jest ono wyrazem dojrzałości klasy robotniczej. Lenin widział początek socjalistycznych stosunków tam, „gdzie ujawnia się ofiarna, przezwyciężająca wszelki trud troska szarych robotników o zwiększenie wydajności pracy, o ochronę każdego puda zboża, węgla, żelaza i innych produktów". (C. Bobińska, „Nowe Drogi" Nr 6). Wydajność pracy — pisze Lenin — **„to w ostatecznym wyniku rzecz najważniejsza, najgłówniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego".**

Wydajność pracy jest to także „zwycięstwo nad własną skostniałością, rozprzężeniem, drobnomieszczańskim egoizmem, nad nawykami, które przeklęty kapitalizm pozostawił w spadku robotnikowi i chłopom" (Lenin).

Dlatego z radością notujemy fakt odznaczenia jeszcze jednego robotnika - dyrektora Krzyżem Zasługi.

k. m.

Jeszcze o pochodzeniu człowieka

Ciekawy artykuł Jakuba Zdroja „Sprawa pochodzenia człowieka" zamieścił ((203) numer „Tygodnika Powszechnego". Dowodzi w nim autor, że teza o pochodzeniu człowieka od małpy została ostatnio definitywnie obalona przez uczonego austriackiego O. Wilhelma Schmidta. Zdrój nazywa osiągnięcia naukowe O. Schmidta — rewelacyjnymi. Dlaczego? Zdaje się dlatego, że nie rozumie sensu darwinizmu i teorii ewolucji — i nie śledził wielkich osiągnięć darwinistów radzieckich. Powołując się na O. Schmidta stara się uzasadnić, że człowiek nie pochodzi od małpy. Równocześnie stara się dowieść, że człowiek od początku swego istnienia nie uległ żadnym zmianom. Już od pierwszych dni swego ziemskiego bytu miał tę samą pionową postawę, ten sam kształt kości — być możne nawet myślał tymi samymi kategoriami, co człowiek współczesny, bo „myśl niematerialna nie może powstać z materii, należy przecież do innego porządku". (Ot, tak powiedziane sobie bez uzasadnienia a priori — dlaczego, Bóg tylko wie). A więc. Pytanie pierwsze — od jakiej małpy pochodzi człowiek — dlaczego autor ciekawego artykułu nie precyzuje tego zagadnienia, a uderza teorię ewolucji w tezę, której ona, w jej współczesnym brzmieniu, nie wypowiada. Człowiek, jak dowodzą współcześni darwiniści, nie pochodzi przecież od małpy in abstracto, od małpy w ogóle — ale od pewnych form pierwotnych istot, zbliżonych kształtem do małpy. Nikt też nie powiedział—jak chce Zdrój — że pewne gatunki małp nie mogą być późniejsze od człowieka. Kto zaś twierdzi, że rozwój człowieka od form niższych do wyższych odbywał się w prostej linii wstępnej — a nie drogą dialektyczną — postępu, skoków, reakcji itd. A więc znów uderzenie w próżnię. Rewelacja przestaje być rewelacją. Zapewne tylko dlatego, że Zdrój nie zna współczesnej nauki.

Wydaje się jednak — to jest pytanie drugie — że czcigodny Zdrój nie rozumie jeszcze jednej sprawy. Chciał w swym artykule podważyć założenia teorii ewolucji i materializmu i wzmocnić założenia teologicznej teorii pochodzenia człowieka. I cóż? Biedak nie rozumie nawet, że boska ingerencja jest nadal tak samo odległa od procesu rozwoju przyrody a więc i człowieka — jak była przed ogłoszeniem jego artykułu. A powoływanie się na uczonych (niebardzo, jak wynika z artykułu, samodzielnych) jest metodą wyraźnie niewystarczającą. Dziesiątki uczonych — w przeszłości i dziś — kruszyło sobie zęby na materiaľizmie i materializm się ostał. A zęby skruszały.

Zdrój zaś jest nadal Don Kichotem, który nadaremnie naciera na wiatraki. K. S.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź Piotrkowska 133, tel. 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja - Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2
D—025753